

Ostatni zamek

Jack Vance



calibre 0.9.27

JACK VANCE

OSTATNI ZAMEK

(Przełożył Maciej Kanert)

Rozdział 1

Pod koniec burzliwego, letniego popołudnia słońce przebiło się w końcu zza kłębiących się, czarnych deszczowych chmur, oświetlając zamek. Zamek był zdobyty, jego mieszkańcy wymordowani. Do ostatnich chwil klany nie uzgodniły między sobą, jak należycie wyjść na spotkanie przeznaczeniu. Szlachta o największym prestiżu i znaczeniu zdecydowała się zignorować poniżające okoliczności i podążyć do swych zwykłych spraw, z nie mniejszym niż kiedyś poszanowaniem etykiety. Kilku zdesperowanych do hysterii kadetów, chwyciło za broń i przygotowało się do odparcia decydującego ataku. Pozostali czekali pasywnie, w gotowości, prawie szczęśliwi, że będą mogli odpokutować za grzechy rasy ludzkiej.

Śmierć przyszła jednakowo do wszystkich i wszyscy czerpali z umierania tyle satysfakcji, ile może dać ten niewdzięczny proces. Dumni siedzieli, odwracając strony swych pięknych książek, dyskutując o jakości stuletnich ekstraktów lub pieszcząc ulubionego Phana, i umierali, nie racząc zauważyć tego faktu. Niecierpliwi wbiegli na błotniste zbocze, które jakimś cudem wzniosło się nad blankami Janeil. Większość z nich została pogrzebana pod osuwającym się gruzem, ale kilku dotarło do grzbietu, by strzelać, ciąć i dźgać, dopóki sami nie zostali zastrzeleni, zmiażdżeni przez półżywe wozy bojowe, pocięci lub pokłuci. Pełni skruchy czekali w klasycznej postawie oddychania, na kolanach, ze zgiętą głową i umierali, wierząc, że takie jest ich przeznaczenie w świecie, w którym Meczy byli symbolem ludzkiego grzechu. W końcu wszyscy byli martwi: szlachetni, damy, Phani w pawilonach, Wieśniacy w stajniach. Ze wszystkich mieszkańców Janeil przeżyły tylko Ptaki, dziwne stworzenia, nieokrzesane, o ochrypyłych głosach, niepomne dumy i wiary, zajęte bardziej stanem swych kryjówek niż splendorem zamku. Gdy Meczy wyroili się, schodząc z blanków, Ptaki opuściły swe siedliska i wykrzykując przeraźliwe klątwy, pofrunęły na wschód, w stronę Hagedorn, ostatniego zamku na Ziemi.

Cztery miesiące wcześniej Meczy pojawili się w parku przed Janeil, nosząc jeszcze ślady walki, którą stoczyli na Wyspie Morza. Szlachcice i damy Janeil, w liczbie około dwóch tysięcy, wspinali się na wieżyczki i balkony, podchodzili Promenadą Zachodzącego Słońca i z wałów i parapetów zamku spoglądali w dół na brązowożłoty wojowników. Kłębili się w nich różne uczucia: obojętność i wesołość, nonszalancka pogarda oraz szczypta zwątpienia i pesymizmu; skutek ich wyrafinowanej kultury, poczucia bezpieczeństwa za murami Janeil i braku jakiegokolwiek drogi ucieczki.

Już dawno temu Meczy należący do Janeil opuścili zamek, by przyłączyć się do rewolty.

Pozostali jedynie Wieśniacy, Phani i Ptaki, z których można by stworzyć tylko namiastkę siły zbrojnej. Wydawało się jednak, że nie ma takiej potrzeby. Uważano, że Janeil jest niezdobyty.

Wysokie na dwadzieścia stóp mury zamku wykonane były z czarnej, stopionej skały umieszczonej w oczkach ze srebrzysto-niebieskiego stopu metali. Baterie słoneczne dostarczały energii wystarczającej na wszystkie potrzeby zamku, a w wypadku najwyższej konieczności jedzenie mogło być syntetyzowane z dwutlenku węgla i pary wodnej, tak jak syrop dla Wieśniaków, Phanów i Ptaków. Janeil był samowystarczalny i bezpieczny, choć w każdej chwili mogły zaistnieć problemy z mechaniczną aparaturą. Nie było Meków, którzy ją naprawiali w razie awarii. Sytuacja była oczywiście trudna, ale nie beznadziejna. Za dnia bojowo nastawieni szlachcice przynieśli działa energetyczne i strzelby sportowe i zabili tylu Meków, na ile pozwalał im zasięg broni. Po zmroku Meczy podprowadzili wozy bojowe oraz spychacze ziemi i rozpoczęli wznoszenie wału dookoła murów zamku. Mieszkańcy Janeil patrzyli, nie rozumiejąc, dopóki wał nie wznosił się na wysokość pięćdziesięciu stóp i nie zaczął osuwać się w stronę murów. Wtedy straszny cel działań Meków stał się oczywisty, dając pole posępnym przewidywaniom. Każdy szlachcic Janeil był erudyta w jednej przynajmniej

dziedzinie wiedzy. Kilku było teoretykami matematyki, podczas gdy większość studiowała dogłębnie nauki fizyczne. Właśnie niektórzy z pomocą Wieśniaków spróbowali uruchomić ponownie działko energetyczne. Niestety, działko nie było utrzymane w odpowiednim stanie. Kilka części było skorodowanych lub zniszczonych. Prawdopodobnie można by je wymienić w sklepach Meków z poziomu minus drugiego, ale nikt w całej grupie nie znał nomenklatury Meków i ich systemu alarmowego. Warrick Maddency Arban* zaproponował, by Wieśniacy przeszukali strażnicę Meków, ale z powodu ograniczonych możliwości umysłowych Wieśniaków nic nie zostało zrobione i cały plan ponownego doprowadzenia działka do użytku nie powiódł się.

Szlachta Janeil patrzyła z satysfakcją, jak gruz wznosi się coraz wyżej i wyżej dookoła nich, tworząc hałdę w kształcie krateru. Kończyło się lato. W pewien burzliwy dzień pył i gruz przerósł mury i zaczął spadać na dwory i place. Janeil miał zostać wkrótce pogrzebany, a wszyscy jego mieszkańcy uduszeni. Wtedy właśnie grupa impulsywnych, młodych kadetów, którzy mieli więcej energii niż godności, chwyciła za broń i pognała na zbocze. Meczy rzucali na nich ziemię i kamienie, ale garstka dotarła na szczyt, gdzie walczyła w wielkim uniesieniu. Walka trwała piętnaście minut i ziemia rozmiękła krwią i deszczem. Na jedną wspaniałą chwilę kadeci oczyścili grzbiet skały i gdyby większość ich towarzyszy nie zginęła pod gruzem, wszystko mogłoby się wydarzyć. Ale Meczy przegrupowali się i przypuścili kontratak. Zostało dziesięciu ludzi, potem sześciu, potem czterech, potem jeden, potem nikt. Meczy wyroili się na blanki, mordując wszystkich z ponurą systematycznością. Janeil, przez siedemset lat siedziba eleganckich szlachciców, stał się pozbawionym życia wrakiem.

Mek, stojący jako okaz w muzeum, był podobnym do człowieka naturalnym stworzeniem pochodzącym z planety Etamina. Jego twarda, złotobrazowa skóra błyszczała metalicznie, jak gdyby była naoliwiona lub wywoskowana. Przechodzący przez głowę i szyję kręgosłup lśnił jak złoto - w istocie był pokryty przewodzącą powłoką miedziano-chromową. Organy czuciowe Męka zgrupowane były w wiązki znajdujących się w miejscu ludzkich uszu. Oblicze - co często szokowało, gdy przechodziło się przez niższe korytarze - było pofałdowanym mięśniem, podobnym z wyglądu do ludzkiego mózgu. Jego otwór gębowy, nieregularna szczelina u podstawy twarzy, był zbędnym organem z powodu pojemnika z syropem wszytego pod skórą na ramieniu. Organy trawienne, używane początkowo do odcedzania substancji odżywczych ze zgniłej roślinności bagiennej, uległy atrofii. Meczy zwykle nie nosili ubrań, z wyjątkiem fartuchów roboczych i pasa z narzędziami, tak że ich złotobrazowa skóra lśniła w słońcu. Tak wyglądał Mek, stworzenie równie skuteczne jak człowiek, być może dzięki zaletom swego mózgu, funkcjonującego także jako odbiornik radiowy. Pracując w grupie, w otoczeniu tysięcy innych, wydawał się mniej godny zachwytu, hybryda podczło-wieka i karalucha.

Pewni uczeni, zwłaszcza D. R. Jardine z Porannego Światła i Salonson z Tuang, uważali Męko w za istoty mdłe i flegmatyczne, ale gruntownie badający te sprawy Claghorn z zamku Hagedorn miał wręcz przeciwne zdanie. Emocje Meków, jak mówił, różniły się od ludzkich i były przez człowieka niezbyt zrozumiałe. Po wnikliwych studiach Claghorn wyróżnił ponad dwanaście takich emocji.

Pomimo tych badań rewolta Meków była nie mniejszą niespodzianką dla Claghorna,

* Arban z rodziny Maddency z klanu Warwick.

D.R. Jardine'a i Salonsona niż dla całej reszty. Dlaczego? - pytali wszyscy. Jak to się stało, że

grupa zawsze posłusznym poddanych przeprowadziła tak morderczy spisek?

Najbardziej racjonalne przypuszczenie było równocześnie najprostsze. Meczy czuli się upokorzeni służbą i nienawidzili Ziemiaków, którzy usunęli ich z naturalnego środowiska. Przeciwnicy tej teorii twierdzili, iż przenosi ona ludzkie emocje i postawy na organizm nie--ludzki, że Meczy mieli powody do wdzięczności wobec człowieka, który uwolnił ich z warunków Etaminy Dziewięć. Na to obrońcy teorii zapytywali z przekąsem: „Kto stosuje ludzkie emocje w tej interpretacji”? Otrzymywali odpowiedź, że skoro nikt nie jest niczego pewien, jedno takie nadużycie nie jest bardziej absurdalne niż inne.

Rozdział 2

Zamek Hagedorn zajmował czubek czarnej, diorytowej turni, górującej nad północną stroną szerokiej doliny. Większy i bardziej majestatyczny niż Janeil, Hagedorn ochraniały były mury o obwodzie jednej mili, wysokimi na trzysta stóp. Blanki wznosiły się dziewięćset stóp nad dnem doliny, a wyrastające z nich wieże, wieżyczki i strażnice nawet jeszcze wyżej. Zachodnia i wschodnia strona turni opadały całkiem ku dolinie, podczas gdy na tarasach położonych na mniej stromych ścianach, północnej i południowej, uprawiano winorośl, karczochy, gruszki i granaty. Wznosząca się z dna doliny aleja okrążała cały zamek, prowadząc do portalu na centralnym placu. Naprzeciw stała wielka Rotunda, po obu stronach której wznosiły się wysokie Domy, należące do dwudziestu ośmiu rodzin.

Pierwszy zamek, zbudowany natychmiast po powrocie człowieka na Ziemię, stał na miejscu, na którym obecnie znajdował się plac. Dziesiąty Hagedorn przy pomocy ogromnej liczby Meków i Wieśniaków wznosił nowe mury, po czym zniszczył stary zamek. Z tego okresu pochodziło też dwadzieścia osiem Domów powstałych pięćset lat temu.

Poniżej placu znajdowały się trzy poziomy słuźebne. Stajnie i garaże na dnie, następnie sklepy i kwatery należące do Meków i w końcu składy, wartownia i sklepy specjalistyczne: piekarnie, browary, szlifiernie, arsenały, magazyny i tym podobne.

Obecny Hagedorn, dwudziesty szósty w linii, nazywał się Claghorn z Overwhele. Jego wybór na to stanowisko był dla wszystkich wielką niespodzianką, ponieważ O.C. Charle, jak zwał się wcześniej, był szlachcicem najzupełniej zwyczajnym. Jego elegancja, spryt i erudycja były ledwie przeciętne. Nigdy nie odznaczał się jakąś oszałamiającą oryginalnością myśli. Był proporcjonalnie zbudowany, miał kwadratową, kościstą twarz, z krótkim, prostym nosem, łagodnym czołem i wąskimi, szarymi oczami. Wyraz jego twarzy, zwykle z lekka roztargniony, przeciwnicy określali jako tępy. Kiedy Claghorn opuścił powieki i zmarszczył blond brwi, jego

twarz natychmiast przyjmowała uparty i gburowaty wyraz, z czego Hagedorn nie zdawał sobie sprawy.

Stanowisko, które formalnie nie dawało władzy, miało jednak przemożny wpływ, a styl szlachcica, który został Hagedornem oddziaływał na wszystkich. Z tego powodu wybory Hagedorna były sprawą niemałej wagi, tematem setek rozważań i rzadko zdarzał się kandydat, który odpadał z powodu jakiejś starej gafy lub okazanego braku ogłady, o których rozprawiało się z zawstydzającą szczerością. Chociaż kandydat nigdy nie mógł obrazić się jawnie, przyjaźnie kończyły się, urazy rosły, reputacje ulegały zniszczeniu. Wybór O.C. Charle'a był kompromisem pomiędzy dwoma frakcjami w klanie Overwhele, na który przypadł przywilej elekcji.

Obaj szlachetni kandydaci, z których O.C. Charle reprezentował kompromis, byli niezwykle szanowani, jakkolwiek różnili się całkowicie swym stosunkiem do istnienia. Pierwszym kandydatem był utalentowany Garr z rodziny Zumbeld. Był on ucieleśnieniem tradycyjnych wartości zamku Hagedorn. Był koneserem ekstraktów, ubierał się zawsze z absolutnym smakiem, nigdy nie dopuszczając do powstania fałdy lub przekrzywienia się charakterystycznej rozety Overwhele. Łączył beznamiętność i spryt z godnością, jego dowcip skrzył się błyskotliwymi aluzjami i układem fraz, był mistrzem celnej riposty. Potrafił cytować każde znaczniejsze dzieło literackie. Wspaniale grał na dziewięciostrunowej lutni, dlatego zawsze pożądaną jego obecnością na przeglądzie Antycznych Płaszczy. Był także badaczem antyku o niekonwencjonalnej erudycji, znał położenie każdego ważniejszego miasta Starej Ziemi i mógł dyskutować godzinami o historii starożytnej. Jego umiejętności militarne nie miały sobie równych w Hagedorn, choć D.K. Magdah z zamku Delora i być może Brusham z Tuang mogli stanąć z nim w zawody. Wady? Skazy? Można by wymienić kilka. Przede wszystkim przesadna dbałość o konwenanse, robiąca wrażenie drażliwości, upór poczytywany

często za bezzwzględność. O.Z. Garr nigdy nie mógłby być uznany za nudnego lub chwiejnego, a jego osobista odwaga była całkowicie bezdyskusyjna.

Dwa lata temu zabłąkana banda nomadów wkroczyła do Doliny Lucerny, mordując Wieśniaków, kradnąc bydło. Podszedłszy na tyle blisko, że mógł wystrzelić strzałę w pierś kadeta z klanu Isseth, O.Z. Garr natychmiast zmontował karną kompanię Meków, załadował ich na dwanaście wozów bojowych i ruszył w pogoń za nomadami, doganiając ich w pobliżu rzeki Drene, niedaleko ruin katedry Worster. Nomadzi byli niespodziewanie silni i przebiegli i nie zadowolili się ucieczką. Podczas walki O.Z. Garr dał przykład nieustraszonej odwagi, kierując atakiem z siedzenia swojego wozu bojowego, z parą Meków stojących po bokach z tarczami i zatrzymujących nadlatujące strzały. Bitwa skończyła się druzgocącą klęską nomadów. Trzydzieści siedem postaci w czarnych płaszczach leżało na ziemi, podczas gdy jedynie dwudziestu Meków straciło życie.

Przeciwnikiem O.Z. Garra w wyborach był Claghorn, starszy rodziny. Podobnie jak O.Z. Garrowi, znakomite rozeznanie w społeczeństwie Hagedornu przychodziło Claghornowi tak łatwo jak pływanie rybie. Był on nie mniejszym erudytą niż O.Z. Garr, choć z pewnością nie tak wszechstronnym. Podstawowym polem jego studiów byli Meczy, ich fizjologia, sposoby porozumiewania się i wzorce społeczne. Styl konwersacji Claghorna był bardziej głęboki, choć mniej dowcipny i nie tak cięty jak O.Z. Garra. Rzadko używał on ekstrawaganckich tropów i aluzji, charakterystycznych dla mowy Garra, preferując styl ascetyczny. Claghorn nie trzymał Phanów. Cztery należące do O.Z. Garra, na czele z Wykwintnym Materiałem Cienkim jak Pajęczyna, były cudami delikatności. Ich występ na przeglądzie Antycznych Płaszczy rzadko przechodził nie zauważony.

Ci dwaj mężczyźni różnili się bardzo postawą filozoficzną. O.Z. Garr, tradycjonalista, żarliwy wzór dla swego społeczeństwa, był bez zastrzeżeń przywiązany do zasad. Nie

nurtowały go zwątpienie czy poczucie winy. Nie czuł potrzeby zmiany warunków umożliwiających dwóm tysiącom szlachciców i dam życie w wielkim bogactwie. Claghorn, w każdym calu pokutnik, znany był ze swego niezadowolenia z życia w Hagedorn. Tak głośno i natarczywie wyrażał swoje poglądy, że wielu ludzi nie chciało ich słuchać, by nie zakłócać wygody swego dotychczasowego życia. Ale trudne do zdefiniowania, złe samopoczucie drażyło coraz głębiej, powiększając szeregi wpływowych stronników Claghorna. Gdy nadszedł czas oddania głosów ani O.Z. Garr, ani Claghorn nie zdołali zebrać wystarczającego poparcia. W końcu stanowisko przyznano szlachcicowi, który w najśmielszych marzeniach nie dopuszczał do siebie tej myśli. Mężczyźnie dobrych obyczajów i godności, ale bez wielkiej głębi, bez swobody, bez życia, mężczyźnie uprzejmemu, ale niezdolnemu do narzucenia radzie kłopotliwego wniosku, O.C. Charle'owi, nowemu Hagedornowi.

Sześć miesięcy później Meczy z Hagedorn opuścili zamek, zabierając wozy bojowe, narzędzia, broń i ekwipunek elektryczny. Ucieczka Meków musiała być dobrze zaplanowana, ponieważ tej samej nocy Meczy opuścili także osiem pozostałych zamków.

Pierwszą reakcją w zaniku Hagedorn, podobnie jak wszędzie indziej, było niedowierzanie, potem gniew i wreszcie, gdy skutki tego czynu stały się jasne dla wszystkich, przecucie nadciągającego nieszczęścia.

Nowy Hagedorn, głowy klanów i inni notable wyznaczeni przez Hagedorna spotkali się w oficjalnej sali rady, by rozważyć tę sprawę. Siedzieli wokół okrągłego stołu pokrytego czerwonym aksamitem. Hagedorn u szczytu, Xanten i Isseth po jego lewej stronie, Overwhele, Aurę i Beaudry z prawej strony. Dalej siedzieli inni: O.Z. Garr, I.K. Linus, A.G. Bernal, teoretyk-matematyk o wielkich umiejętnościach, i B.F. Wyas, równie znany badacz starożytności, który zidentyfikował położenie wielu miast starożytnej Ziemi: Palmiry, Lubeki,

Eridu, Zanesville, Burtonon-Trent, Marsylii i innych. Skład rady dopełniało kilku starszych rodzin: Marunę i Baudune z klanu Aurę, Roseth i Idelsea z klanu Xanten, Uegus z klanu Isseth, Claghorn z klanu Overwhele.

Przez dziesięć minut wszyscy siedzieli w milczeniu, skupiając się i przeprowadzając akt psychicznego dostosowania się.

W końcu przemówił Hagedorn:

- Zamek nasz został opuszczony przez Me-ków. Nie muszę chyba mówić, że to niewygodna dla nas sytuacja, którą powinniśmy jak najszybciej opanować. Jestem pewien, że zgadzamy się co do tego punktu.

Rozejrzał się wokół stołu. Wszyscy dla okazania akceptacji wyciągnęli przed siebie rzeźbione tabliczki z kości słoniowej, wszyscy z wyjątkiem Claghorna, który jakkolwiek nie wyraził poparcia, nie postawił też swojej tabliczki na krawędzi w geście wyrażającym sprzeciw.

Isseth, surowy, białowłosy szlachcic, imponująco przystojny mimo swoich siedemdziesięciu lat, przemówił ponurym głosem:

- Nie widzę żadnego sensu w rozważaniach, a co za tym idzie w zwłóce. To przecież jasne, co musimy zrobić. Trzeba przyznać, iż Wieśniacy są raczej słabym materiałem rekrutacyjnym, ale pomimo to musimy ich zebrać, wyekwipować w sandały, ubrania, broń, by nas nie skompromitowali, i powierzyć ich dobremu dowództwu. Mam na myśli O.Z. Garra lub Xantena. Ptaki zlokalizują uciekinierów, a jak ich wytropią, rozkaże się Wieśniakom dać im porządne cięgi i przygnąć biegiem z powrotem do domu.

Xanten, trzydziestopięcioletni mężczyzna, wyjątkowo młody jak na głowę klanu i znany ze swojej zapalczywości, pokręcił głową.

- Pomysł jest być może pociągający, ale niepraktyczny. Niezależnie od tego jak ich

wyszkolimy, Wieśniacy nigdy nie dotrzymają placu Mękom.

Była to oczywista prawda. Wieśniacy, małe androidy pochodzące z planety Spica

Dziesięć, byli nie tyle bojaźliwi, ile niezdolni do żadnego działania.

Nad stołem zapadła surowa cisza. W końcu przemówił O.Z. Garr:

- Psy ukradły nasze wozy bojowe. Gdyby nie to, wyjechałbym i przyznał łotrów z powrotem moim biczem*.

- Jedno mnie zastanawia - powiedział Hagedorn. - Syrop. Naturalnie wynieśli ze sobą

* Jest to jedynie przybliżone tłumaczenie, które nie oddaje ciętości języka. Kilka słów nie ma już współczesnych

ekwiwalentów. Na przykład „skirkłować” w zwrocie „wysłać skirkłować” oznacza szaloną, bezładną ucieczkę we

wszystkich kierunkach, której towarzyszy wibracja, migotanie lub drgawki. „Yolithować” to leniwie bawić się

sprawą. Skutkiem takiej Jowiszowej mocy jest przemiana trudności w niegodne uwagi drobiazgi. „Raudlebogs” to

półinteligentne istoty z planety Etamina Cztery, przywiezione na Ziemię. Szkolone były na ogrodników, potem na

robotników budowlanych, a potem wysłane w niełasce z powrotem z powodu kilku odpychających nawyków,

których nie chciały porzucić. Tak więc zdanie O.Z. Garra brzmiałoby: „Gdybym miał wozy bojowe pod ręką,

tyle, ile mogli. Ale gdy zapasy się wyczerpią, co wtedy? Czy będą głodować? To niemożliwe,

by wrócili do swojej pierwotnej diety. Co to było? Bagienny muł. Ej, Claghorn, ty jesteś

ekspertem w tych sprawach. Czy Mekowie mogą powrócić do mułu?

- Nie - powiedział Claghorn. - Organy dorosłych uległy atrofii. Ale gdyby mały Mek rozpoczął taką dietę, prawdopodobnie przeżyłby.

- Tak właśnie myślałem. - Hagedorn spuścił wzrok na złączone dłonie. Nie potrafił

wysunąć żadnej konstruktywnej propozycji.

W wejściu pojawił się szlachcic w ciemnoniebieskich barwach klanu Beaudry. Podniósł wysoko prawe ramię i skłonił się tak, że palcami musnął podłogę.

Hagedorn wstał.

- Wystąp, B.F. Robath. Jakie wieści przynosisz?

Szlachcic przykląkł.

- Przynoszę wiadomość nadaną z zamku Halcyon. Meczy zaatakowali, podpalili budowle i mordują wszystkich. Radio umilkło minutę temu.

Wszyscy się poruszyli, kilku skoczyło na równe nogi.

- Mordują? - zachrypiał Claghorn.

- Jestem pewien, że Halcyon przestał istnieć.

Claghorn usiadł, zapatrzony w przestrzeń nie widzącymi oczami. Inni omawiali przerażające wieści głosami, w których brzmiał strach.

Hagedorn jeszcze raz przywołał radę do porządku:

- Jest to sytuacja ekstremalna, być może najtrudniejsza w całej naszej historii. Szczerze mówiąc, nie potrafię zaproponować żadnego sposobu skutecznego kontrataku.

Overwhele zapytał:

- A co z innymi zankami? Czy one są bezpieczne?

Hagedorn zwrócił się do B.F. Robatha:

- Czy będziesz tak dobry i nawiązesz kontakt radiowy ze wszystkimi pozostałymi zamkami, by dowiedzieć się, w jakim są stanie?

- Inne zamki są równie słabe jak Halcyon. Szczególnie Wyspa Morza i Delora, choć także Maraval - odezwał się Xanten.

Claghorn wyrwał się z zadumy:

- Myślę, że szlachta tych zamków powinna rozważyć możliwość schronienia się w

Janeil lub tutaj, do momentu stłumienia rewolty.

Zebrani spojrzeli nań zaskoczeni i rozbici. O.Z. Garr spytał jedwabnym głosem:

„yolithowałbym, jadąc naprzód z biczem, by wysłać raudlebogsów skirkłujących z powrotem”.

- Oczekujesz od szlachty tych zamków, by pierzchnęła do kryjówki przed pysznięcymi się triumfalnie niższymi stanami?

- Tak, jeśli chcą przeżyć - odpowiedział grzecznie Claghorn. Był to niemłody już szlachcic, krępy i silny. Miał ciemnoszare włosy, piękne, zielone oczy i sposób bycia znamionujący wielką wewnętrzną siłę, którą jednak potrafił kontrolować. - Z definicji ucieczka jest w pewien sposób niegodna - kontynuował. - Jeśli O.Z. Garr potrafi zaproponować* bardziej elegancki sposób wzięcia nóg za pas, z radością go poznam, a i reszta powinna pilnie uważać, bowiem w nadchodzących dniach taka umiejętność może przydać się każdemu.

Hagedorn wtrącił się, zanim O.Z. Garr zdążył odpowiedzieć:

- Trzymajmy się tematu. Przyznaję, iż nie widzę rozwiązania. Meczy okazali się mordercami. Jak możemy spowodować, aby powrócili do służby? I wreszcie, jeśli nam się to nie uda, warunki życia będą surowe do czasu, gdy wyszkolimy nowych techników. Musimy skoncentrować się na tych problemach.

- Statki kosmiczne! - wykrzyknął Xanten. - Musimy natychmiast do nich dotrzeć!

- O co chodzi? - spytał Beaudry, mężczyzna o ostrej, jakby wykutej ze skały twarzy. -

Co to znaczy „do nich dotrzeć”?

- Trzeba je ochronić przed zniszczeniem! Są pomostem między nami i Ojczystymi Światami. Meczy ze służby technicznej na pewno nie opuścili hangarów, bo jeśli mają zamiar nas wyniszczyć, zrobią wszystko, aby nie dopuścić nas do statków.

- Może chcesz wyruszyć z pospolitym ruszeniem Wieśniaków, by bronić hangarów? -

spytał z lekka lekceważącym tonem O.Z. Garr. Historia wzajemnej rywalizacji i nienawiści

między nim a Xantenem sięgała bardzo dawnych czasów.

- Być może jest to nasza jedyna nadzieja - odparł Xanten. - Jak jednak można walczyć, dowodząc pospolitym ruszeniem Wieśniaków? Lepiej będzie, jeśli sam polecę do hangarów na rekonesans, a w tym czasie ty i inni biegli w sprawach wojskowych weźmiecie w ręce rekrutację i wyszkolenie złożonej z Wieśniaków milicji.

- W takim razie - stwierdził O.Z. Garr - oczekuję jakichś wniosków z naszych obecnych rozważań. Jeśli są to rozwiązania optymalne, naturalnie zrobię co w mej mocy, wykorzystując w pełni swe kompetencje. Jeżeli najlepiej nadajesz się do szpiegowania Meków, myślę, że starczy ci serca, by to zrobić.

Dwaj szlachcice popatrzyli na siebie. Przed rokiem ich wzajemna wrogość omal nie skończyła się pojedyńkiem. Xanten był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, zapalczywym i obdarzonym wielkim naturalnym sprytem, ale zbyt luźno traktował zasady elegancji. Tradycjoniści nazywali go „sthross”, wskazując na ledwie uchwytną niedbałość manier i na brak szacunku dla etykiety. Nie najlepiej nadawał się na głowę klanu.

Odpowiedź Xantena była ironicznie grzeczna:

- Będę szczęśliwy, mogąc wziąć to zadanie na me barki. Ponieważ najważniejszym czynnikiem jest czas, narażę się na zarzut pośpiechu i wyruszę natychmiast. Miejmy nadzieję, że jutro złożę raport. - Wstał, złożył jeden ukłon przed Hagedornem, drugi przed całą radą i wyszedł.

Przeszedł do Domu Esledune, gdzie miał mieszkanie na trzynastym poziomie. Cztery pokoje umeblowane w stylu Piątej Dynastii, historycznej epoki Ojczystych Planet Altair, skąd rasa ludzka powróciła na Ziemię. Jego obecna małżonka, Araminta, dama z rodziny Onwane, wyszła w jakichś swoich sprawach, co bardzo odpowiadało Xantenowi. Najpierw zarzuciłaby go pytaniami, a potem podałaby w wątpliwość proste wytłumaczenie, skłonna podejrzewać go

o randkę w wiejskiej rezydencji. Mówiąc prawdę, Xanten znudził się Araminta i miał powody, by myśleć, że ona czuła podobnie. Być może jego pozycja nie dawała jej możliwości uczestniczenia w tylu spotkaniach towarzyskich, ilu się spodziewała. Nie mieli dzieci. Córka Araminty z poprzedniego związku była jej przypisana. Jej drugie dziecko musiałoby zostać przypisane do Kantena, co uniemożliwiłoby mu spłodzenie innego potomka*.

Xanten zdjął żółte szaty obowiązujące na posiedzeniu rady i przy pomocy młodego samca - Wieśniaka, wdział ciemnożółte bryczesy myśliwskie z czarną lamówką, czarną kurtkę i czarne buty. Na głowę nałożył czapkę z miękkiej, czarnej skóry, przez ramię przewiesił torbę, do której włożył broń, nóż i pistolet energetyczny.

Opuściwszy mieszkanie, wezwał windę i wjechał do zbrojowni na poziomie pierwszym, gdzie normalnie obsłużyłby go Mek--urzędnik. Teraz ku swemu wielkiemu niesmakowi Xanten sam był zmuszony wejść za ladę i poszperać tu i tam. Meczy zabrali większość strzelb sportowych, wyrzutni śrutu i ciężkich pistoletów energetycznych.

Złowieszczy znak, pomyślał Xanten. W końcu znalazł stalową procę-bicz, kilka magazynków do swego pistoletu, pęk granatów i silną lornetkę.

Wrócił do windy i wjechał na poziom szczytowy, ponuro rozważając możliwość długiej wspinaczki w wypadku awarii mechanizmu, gdy nie ma Meków, którzy mogliby go naprawić. Pomyślał o wściekłości tradycjonalistów, takich jak Beaudry, która mogła doprowadzić ich do apopleksji, i zaśmiał się cicho - nadchodziły dni pełne wydarzeń!

Dotarłszy na poziom szczytowy, przeszedł przez blanki i skierował się do pokoju

* Mieszkańcy zamku Hagedorn byli mieszanymi. Każdy szlachcic i każda dama mogli mieć jedno dziecko. Jeśli

jakimś sposobem urodziłoby się drugie, rodzic musiał znaleźć kogoś, kto nie spłodził jeszcze potomka lub inaczej

nim zadysponować. Zwykle oddawało się takie dziecko pod opiekę pokutników.

radiowego. Zwykle trzech specjalistów Meków, połączonych z aparatem za pomocą kabli dochodzących do ich siedzeń, zapisywało przychodzące wiadomości. Teraz B.F. Robarth stał przed aparatem, kręcąc niepewnie tarczami. Jego mina wyrażała pogardę dla wykonywanej pracy.

- Jakies nowe wiadomości? - spytał Xanten.

B.F. Robath spojrział nań kwaśno.

- Ludzie po drugiej stronie wydają się zaznajomieni z tą przeklętą plątaniną nie bardziej niż ja. Słyszę czasem głosy. Meczy chyba atakują zamek Delora.

Claghorn wszedł do pomieszczenia zza pleców Kantena.

- Czy dobrze słyszałem? Delora padła?

- Jeszcze nie, Claghornie. Ale upadek jest blisko. Mury Delory nie są solidniejsze niż malowane skorupki.

- Ta sytuacja przyprawia mnie o mdłości - zamruczał Xanten. - Jak czujące istoty mogą czynić tyle zła? Minęło tyle stuleci, a my tak mało o nich wiemy. - Gdy to powiedział, zdał sobie sprawę, że popełnił nietakt. Claghorn poświęcił większą część swego życia na studia nad Mękami.

- Sam akt nie jest zadziwiający - stwierdził krótko Claghorn. - Zdarzało się to tysiące razy w historii.

Lekko zaskoczony, że Claghorn posługuje się historią ludzi do interpretacji wydarzeń, w których udział biorą stany niższe, Xanten zapytał:

- Nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że Meczy mogą być niebezpieczni?

- Nie, nigdy. Rzeczywiście nigdy. Claghorn jest przesadnie wrażliwy, pomyślał Xanten. Choć miało to wszystko jakiś sens.

Podstawowa doktryna Claghorna wysunięta podczas wyborów Hagedorna była bardzo

skomplikowana i Kanten ani nie rozumiał, ani nawet nie dostrzegł jego celów. Jasne było jednak, że rewolta Meków usuwa ziemię spod nóg Claghorna, prawdopodobnie ku gorzkiej satysfakcji O.Z. Garra, utwierdzonego w swej konserwatywnej ideologii.

- Życie, które prowadziliśmy, nie mogło trwać wiecznie. To cud, że trwało tak długo - rzekł zwięźle Claghorn.

- Być może - powiedział pojednawczo Kanten. - Właściwie nie ma to znaczenia.

Wszystko się zmienia. Kto wie, być może Wieśniacy planują właśnie, jak zatruć nasze jedzenie? Muszę już iść. - Ukłonił się B.F. Robathowi i Claghornowi, który skinął mu lekko głową, i wyszedł z pokoju.

Wspiął się spiralną klatką schodową, przypominającą raczej drabinę, i znalazł się w pomieszczeniach, gdzie w wiecznym bałaganie żyły Ptaki, zajmując się hazardem, kłótniami i pewną odmianą szachów, której zasady pozostawały niezrozumiałe dla szlachciców.

Zamek Hagedorn utrzymywał sto Ptaków, pilnowanych przez grupę cierpliwych

Wieśniaków, do których Ptaki odnosiły się z wielką pogardą. Ptaki były wrzaskliwymi i gadatliwymi stworzeniami, o czerwonej, żółtej lub niebieskiej barwie. Bezustannie potrzęsały wścibskimi głowami na długich szyjach, pełne lekceważenia, którego nic nie mogło poskromić.

Gdy zauważyły Xantena, natychmiast podniósł się chór wulgarnych okrzyków:

- Ktoś chce się przejechać! Coś ciężkiego!

- Dlaczego dwunożni pomazańcy nie zrobią sobie sami skrzydeł?

- Przyjacielu, nie ufaj Ptakom! Pofruniemy wysoko, a potem spuścimy cię w dół!

- Cisza! - krzyknął Xanten. - Potrzebuję sześciu szybkich, cichych Ptaków do ważnej misji. Czy są tu jakieś zdolne do wykonania tego zadania?

- Pyta, czy są jakieś zdolne!

- Roś, roś! Nikt z nas nie latał od tygodnia!

- Ciszza? Damy ci ciszę, ty żółto-czarny!

- W takim razie polecicie: ty, ty, ty z mądrymi oczami, ty tam, ty z podniesionym ramieniem i ty z zielonym pomponem. Do koszyka.

Wyznaczone Ptaki krzycząc, gderając i klnąc na czym świat stoi, pozwoliły na napełnienie swych zbiorników z syropem i skupiły się wokół wiklinowego siedzenia, gdzie czekał Xanten.

- Do składu kosmicznego w Yincenne - powiedział. - Lećcie wysoko i cicho. Wrogowie są bardzo blisko. Musimy się dowiedzieć, co stało się ze statkami kosmicznymi.

- Do składu więc! - Każdy Ptak uchwycił kawałek liny przymocowany do górnej części kadłuba. Koszyk został poderwany z mocnym szarpnięciem i Ptaki wyleciały, śmiejąc się i przeklinając siebie nawzajem. Ostatecznie zharmonizowały ruchy i leciały miarowo, machając trzydziestoma sześcioma skrzydłami. Ku uldze Xantena przestały gadać. Lecieli teraz cicho na południe z prędkością pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mil na godzinę.

Popołudnie powoli się kończyło. Długie, czarne cienie zdobiły starożytny krajobraz, odwieczną widownię przychodzenia i odchodzenia, triumfu i nieszczęścia. Patrzącemu w dół Xantenowi nasunęła się refleksja, że człowiek był integralną częścią tej Ziemi, która wydawała się jemu i jego przodkom, którzy przybyli tu siedem wieków wcześniej, obcym światem.

Powód był jasny i prosty. Po Szóstej Wojnie Gwiezdnej Ziemia leżała odłogiem przez trzy tysiące lat; puste schronienie dla garstki udręczonych wraków, którzy jakimś cudem przeżyli kataklizm, stając się półbarbarzyńskimi nomadami. Siedemset lat temu pewni bogaci lordowie z Altair powodowani w pewnym stopniu względami politycznymi, częściowo zaś dla kaprysu, zdecydowali się powrócić na Ziemię. Taki był początek dziewięciu wielkich warowni, zamieszkującej je szlachty i personelu wyspecjalizowanych androidów... Xanten przeleciał nad terenem prac archeologicznych, gdzie odkopywano plac zarzucony kamieniami, pęknięty

obelisk i przewrócony posąg... Przez proste skojarzenie widok ten podsunął mu oszałamiającą wizję, tak prostą i tak wspaniałą, że objął wszystko zupełnie nowym spojrzeniem. Ziemia była znów zaludniona, pola uprawiane, nomadzi przepędzeni.

W tym momencie wizja nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Patrząc na miękkie kontury starej Ziemi, Xanten myślał o rewolcie Meków, która zmieniła jego życie w tak wstrząsającym tempie.

Claghorn upierał się przez długi czas, że warunki życia są zmienne, a im bardziej są one skomplikowane, tym większa jest ich podatność na przeobrażenia. W takim wypadku siedemsetletnia ciągłość istnienia zamku Ha-gedorn, sztuczna, lekkomyślna i skomplikowana jak życie, sama w sobie była faktem wstrząsającym. Claghorn poszedł w swych twierdzeniach nawet dalej. Twierdził, że ponieważ zmiany nie można uniknąć, szlachta powinna złagodzić szok, przewidując i kontrolując przeobrażenia. Doktryna ta została natychmiast ostro zaatakowana. Tradycjoniści nazywali ją błędem łatwym do udowodnienia, uważając, że stabilność życia w zamku jest dowodem jego zdolności istnienia. Kanten przychylił się raz do jednego raz do drugiego zdania, nie pozostając związany emocjonalnie z żadnym z nich.

Tradycjonalizm O.Z. Garra kierował go wprawdzie w stronę Claghorna, którego słuszności dowodziły obecne wydarzenia. Zmiana nadeszła, niosąc ze sobą gwałt i cierpienia.

Oczywiście ciągle nasuwały się pytania, na które trzeba było odpowiedzieć. Dlaczego Meczy wybrali na powstanie właśnie ten moment? Podczas minionych pięciu wieków, w których nie nastąpiły żadne istotne zmiany, Meczy nigdy nie okazywali uczuć, choć z wyjątkiem Claghorna nikt nie zadał sobie trudu, by o nie zapytać.

Ptaki skręciły ostro na wschód, by ominąć góry Ballarat, na zachód od których wznosiły się ruiny nigdy dokładnie nie zidentyfikowanego wielkiego miasta. W dole rozciągała się dolina Lucernę, wielki obszar urodzajnej ziemi uprawnej. Jeśli ktoś spojrzełby uważnie,

rozdzieliłby zarysy gospodarstw rolnych.

W przodzie widać było hangary statków kosmicznych, w których Meczy ze służby technicznej utrzymywali cztery pojazdy dla Hagedorn, Janeil, Tuang, Porannego Światła i Maravalu. Jednak z różnych powodów statki nigdy nie były używane.

Słońce zachodziło. Pomarańczowe światło migotało i odbijało się od metalowych ścian.

Xanten zawołał do Ptaków:

- Kołujcie w dół! Wylądуйте za tą linią drzew, ale tak, by nikt nas nie widział!

Ptaki zatoczyły krąg w dół, lecąc na wyprostowanych skrzydłach, i sześć niezgrabnych szyj wyciągnęło się w stronę ziemi. Xanten przygotował się na uderzenie. Ptaki jakoś nie potrafiły miękko lądować, gdy niosły szlachcica. Gdyby ładunkiem było coś, co darzyły osobistym szacunkiem, nawet puch nie zostałby poruszony wstrząsem.

Xanten świetnie utrzymał równowagę, zamiast toczyć się i gramolić jak Ptaki.

- Wszystkie macie syrop - powiedział im. - Odpoczywajcie, nie róbcie hałasu i nie kłóćcie się. Jeśli nie wrócę do jutrzejszego zachodu słońca, wróćcie do Hagedorn i powiedzcie, że Xanten zginął.

- Nie bój się! - krzyknęły Ptaki. - Będziemy czekać wiecznie!

- W każdym razie do jutrzejszego zachodu słońca!

- Jeśli będzie ci grozić niebezpieczeństwo, roś, roś, roś! Zawołaj Ptaki.

- Roś! Gdy ktoś nas sprowokuje, jesteśmy straszne!

- Chciałbym, aby to była prawda - powiedział Xanten. - Ogólnie wiadomo, że Ptaki są skończonymi tchórzami, choć doceniam wasze dobre chęci. Pamiętajcie moje polecenia i przede wszystkim bądźcie cicho! Nie chcę zostać odkryty i zasztyletowany z powodu hałasu, jaki czynicie.

Ptaki wydały kilka prostackich dźwięków:

- niesprawiedliwość, niesprawiedliwość! Jesteśmy ciche jak rosa!

- Dobrze - Xantan szybko odszedł, uciekając od ich rad i zapewnień.

Przeszedłszy przez las, znalazł się na otwartej łące. W odległości może stu jardów widział pierwszy hangar. Zatrzymał się, by się zastanowić. Musiał wziąć pod uwagę kilka ważnych czynników. Po pierwsze: Meczy ze służby technicznej, których metalowe budynki odbijały fale radiowe, mogli nie wiedzieć jeszcze o rewolcie. Biorąc jednak pod uwagę dokładnie zaplanowaną datę buntu, było to mało prawdopodobne, zdecydował. Po drugie: Meczy mający kontakt z pobratymcami działali jak jeden organizm. Zespół pracował z większą kompetencją niż poszczególne jego części, a pojedynczy Mek nie był skłonny do inicjatywy. Stąd strażnicy były prawdopodobnie niezwykle czujne. Po trzecie: jeśli oczekiwali, że ktoś będzie się skradał, na pewno zbadali dokładnie drogę, którą mógł się poruszać.

Xanten zdecydował poczekać w cieniu jeszcze dziesięć minut, dopóki zachodzące słońce nie zaświeci mu w plecy, oślepiając ewentualnego obserwatora.

Minęło dziesięć minut. Hangary, błyszczące w promieniach znikającego słońca, sprawiały wrażenie całkowicie cichych. Żłota trawa na łące falowała i marszczyła się w podmuchach chłodnej, wieczornej bryzy... Xanten wziął głęboki oddech, podniósł torbę, przygotował broń i ruszył naprzód. Nie musiał czołgać się przez trawę.

Bez problemów dotarł do tylnej ściany najbliższego hangaru. Przyłożył ucho do metalowej ściany, lecz nic nie usłyszał. Podeszedł do rogu i ostrożnie zań wyjrzał. Ani śladu życia. Xanten wzruszył ramionami. W porządku, a więc do drzwi. Szedł wzdłuż bocznej ściany hangaru, krocząc za swym cieniem w blasku zachodzącego słońca. Podeszedł do drzwi prowadzących do pomieszczenia administracyjnego. Zwlekanie nie miało sensu, Xanten pchnął drzwi i wszedł do środka. Biuro było puste. Biurka, przy których od wieków siedzieli urzędnicy, podliczający faktury przywozu i wywozu, były puste, wypolerowane, bez pyłka

kurzu. Komputery, banki informacji, czarna emalia, szkło, białe i czerwone przełączniki wyglądały, jak gdyby zainstalowano je dzień wcześniej.

Xanten podszedł do szklanej szyby, patrząc na podłogę hangaru, na którą padał cień statku. Nie widział Meków. Ale na podłodze w równych rzędach i stosach leżały elementy mechanizmu kontroli statku. Tablice rozdzielcze ziały otworami, pokazując, gdzie były przymocowane urządzenia.

Xanten wyszedł z biura do hangaru. Statek był niesprawny, nie nadawał się do użytku. Popatrzył wzdłuż rzędów i stosów części. Wśród uczonych pochodzących z różnych zamków byli także eksperci od teorii kosmicznego transferu czasowego. S.X. Rosenbox z Maraval wyprowadził nawet ciąg równań, które przełożone na działanie mechaniczne eliminowały sprawiający tyle kłopotów efekt Hamu-sa. Ale żaden szlachcic, nawet jeśli był w stanie zapomnieć o osobistym honorze, by wziąć do ręki narzędzie, nie wiedziałby, jak zmontować, połączyć i nastawić mechanizmy zalegające podłogę hangaru.

Kiedy dokonano tego złośliwego dzieła? Nie sposób było na to odpowiedzieć.

Xanten powrócił do biura, wyszedł w mrok i poszedł do następnego hangaru. Znow ani śladu Meków, znow statek pozbawiony mechanizmów. W trzecim hangarze sytuacja była podobna. W czwartym usłyszał jakieś odgłosy. Wszedłszy do biura, zajrzał przez szybę i zobaczył Meków pracujących z właściwą im oszczędnością ruchów, w niesamowitej, mrożącej krew w żyłach ciszy.

Xanten, wystarczająco już poirytowany faktem, że musiał się skradać, dostał furii, widząc, jak jego własność ulega zniszczeniu. Wkroczył do hangaru. Klepiąc się głośno w udo dla zwrócenia uwagi, krzyknął ostrym głosem:

- Części mają natychmiast powrócić na miejsce! Jak śmiecie czynić coś tak zbrodniczego?!

Mecy obrócili ku niemu swe obojętne oblicza i obserwowali go przez paciorkowate skupiska soczewek po obu stronach głowy.

- Co?! - wrzasnął Xanten. - Stawiacie opór? - Wyciągnął stalowy bicz, zwykle raczej symboliczny dodatek niż narzędzie kary, i uderzył nim w ziemię. - Macie być posłuszni! Koniec z tą głupią rewoltą!

Mecy nadal opierali się, napięcie było wyczuwalne. Żaden z nich nie wydał głosu, choć porozumiewali się między sobą, oceniając sytuację. Xanten nie mógł im na to pozwolić.

Postąpił naprzód, dzierżąc bicz i zamachnął się, chcąc ugodzić w jedyne miejsce, gdzie Meczy odczuwali ból - w gąbczastą twarz.

- Do obowiązków! - krzyknął. - Niezła z was służba techniczna! Bardziej pasowałoby: służba niszczycieli!

Mecy wydali miękki, świszczący dźwięk, który mógł znaczyć wszystko. Cofnęli się i teraz dopiero Xanten zauważył jednego, stojącego u szczytu pochylni wiodącej na statek. Był większy od wszystkich, których Xanten widział do tej pory i w pewien sposób inny. Celował w jego głowę z pistoletu śrutowego. Niespiesznym wymachem Xanten odpędził napastnika, który ruszył nań z nożem, i nie racząc nawet wycelować, wystrzelił i zabił Męka stojącego na pochylni, mimo iż śrut świsnął mu koło uszu.

Pomimo to reszta Meków przypuściła atak, posuwając się naprzód. Idąc nonszalancko w stronę kadłuba, Xanten zabijał ich kolejno, w miarę jak nadchodzili, uchylając się przed kawałkiem metalu, innym razem chwytając w locie nóż.

Mecy cofnęli się. Xanten przypuszczał, że uzgodnili jakąś nową taktykę ataku:

zamierzali wycofać się po broń lub może uwięzić go we wnętrzu hangaru. W każdym razie nie miał tu już nic do roboty. Oczyszczył biczem drogę do biura i wyszedł w mrok. Za jego plecami szkło pękało pod rzucanymi przez Meków narzędziami, metalowymi sztabami i kawałkami

kutej stali.

Była pełnia. Wielki, żółty krąg rzucał przyćmiony, szafranowy blask jak stara, antyczna lampa. Oczy Meków nie były dobrze przystosowane do widzenia w ciemnościach, Xan-ten czekał za drzwiami. Gdy Meczy zaczęli wychodzić, ciął ich po kolei w szyje.

Meczy wycofali się do hangaru. Zwijając bicz, Xanten poszedł drogą, którą przybył, nie rozglądając się na boki. Po chwili się zatrzymał. Cały czas coś nie dawało mu spokoju - wspomnienie Męka, który do niego wypalił. Był on większy, jego skóra była bardziej brązowa, ale przede wszystkim prezentował jakąś trudną do zdefiniowania postawę, prawie autorytet, choć takie słowo w odniesieniu do Męka było czymś nienaturalnym. Z drugiej strony, ktoś musiał zaplanować powstanie, albo przynajmniej rzucić taki pomysł. Być może warto było kontynuować rekonesans, choć zdobył już informacje, po które przyszedł.

Xanten odwrócił się i przez lądowisko przeszedł do baraków i garaży. Jeszcze raz, marszcząc brwi z irytacji, skradał się ostrożnie. Co to za czasy, gdy szlachcic musi przekradać się, by uniknąć spotkania z czymś takim jak Me-cy. Podszedł z boku do garaży, gdzie drzemało pół tuzina wozów bojowych*.

Xanten obejrzał je dokładnie. Wszystkie były tego samego rodzaju, metalowa konstrukcja na czterech kołach i z przodu ostrze do prac ziemnych. Obok musiał być pojemnik na syrop. Xanten znalazł pudło ze zbiornikami. Załadował kilka na stojący obok wóz, resztę podziurawił nożem, tak że syrop trysnął na ziemię. Meczy używali nieco innej formuły. Ich syrop znajdował się prawdopodobnie w innym pomieszczeniu, być może wewnątrz baraków. Xanten wspiął się na wóz bojowy, przekręcił klucz „obudź się”, nacisnął przycisk „idź” i pchnął dźwignię, uruchamiając wsteczny bieg. Wóz potoczył się w tył. Xanten zatrzymał go i obrócił w stronę baraków, a następnie postąpił podobnie z trzema innymi wozami. Potem uruchomił je, jeden po drugim. Ruszyły naprzód, ostrza rozcięły metalowe ściany, dachy

zawaliły się. Wozy bojowe posuwały się, miażdżąc wszystko na swej drodze.

Xanten skinął głową z głęboką satysfakcją i wrócił do wozu, który zostawił dla siebie.

Zamarł na chwilę, wspinając się na siedzenie. Ani jeden Mec nie wyszedł z baraków.

Najwidoczniej uciekli, pozostawiając innych zajętych w hangarach. Może chociaż zniszczeniu uległy ich zapasy syropu i wielu zginie z głodu...

Od strony hangarów nadchodził pojedynczy Mek, prawdopodobnie zwabiony odgłosami. Przyczajony za siedzeniem Xanten poczekał, aż tamten przejdzie, następnie wstał i zarzucił mu na szyję swój bicz. Szarpnął mocno, Mek opadł na ziemię. Xanten zszedł szybko na dół i zabrał jeńcowi pistolet śrutowy. Pojmany był jeszcze jednym wielkim Mekiem, ale ku zdumieniu Xantena nie miał pojemnika na syrop. Niesamowite! Mek w swym naturalnym stanie. Jak to stworzenie” przeżyło? Z pewnością nasuwało się wiele nowych pytań i dobrze byłoby, gdyby choć kilka z nich znalazło odpowiedzi. Xanten odciął długie czułki sterczące z tylnej części czaszki Męka. Teraz był on odizolowany, samotny i pozostawiony samemu sobie - sytuacja, która najsilniejszego Męka doprowadzi do apatii.

- Wstań! - rozkazał Xanten. - Wsiadaj na tył wozu! - Dla podkreślenia swych słów trzasnął z bicza.

Z początku zdawało się, że Mek był gotowy stawić opór, ale po dwóch lub trzech strzałach z bicza podporządkował się. Xanten wspiął się na siedzenie i ruszył na północ. Ptaki

* Wozy bojowe, stworzenia bagienne pochodzące podobnie jak Meczy z Etaminy Dziewięć, były wielkimi,

prostokątnymi płytami mięśni, wbudowanymi w prostokątny szkielet i ochranianymi przed słońcem, owadami i

gryzoniami syntetyczną skórą. Pojemniki na syrop połączone były z ich organami trawiennymi, kable prowadziły

do węzłów motorycznych w szczytkowym mózgu, mięśnie zaciskały się na wahaczach uruchamiających wirniki i

koła. Były to oszczędne, długo żyjące i posłuszne stworzenia, używane do ciężkiego transportu, robót ziemnych,

nie byłyby zdolne unieść ich obu, a gdyby nawet, to narzekałyby tak głośno, że lepiej było nie dawać im po temu okazji. Mogły poczekać do umówionej godziny. Jednak najprawdopodobniej, po nocy spędzonej na drzewie obudzą się w cierpkich humorach i od razu powrócą do Hagedorn.

Przez całą noc wóz toczył się przed siebie z Kantenem na siedzeniu i jeńcem leżącym z tyłu.

ciężkich prac polowych i innych żmudnych zajęć.

Rozdział 3

Szlachta, która żyła bezpiecznie w zamkach, nie lubiła włóczyć się w nocy po okolicy, co niektórzy poczytywali za zabobonny lęk. Inni cytowali podróżników zaskoczonych przez noc przy rozsypujących się ruinach i ich późniejsze wizje: wspaniałą muzykę, którą słyszeli, kwilenie wilkołaków lub dalekie dźwięki rogów upiornych myśliwych. Inni widzieli bladą lawendę i zielone światło, widma biegające wielkimi krokami po lesie i Opactwo Hode, teraz zmurszałą ruinę, znane z Białej Wiedźmy pobierającej za przejście ogromne myto.

Znane były setki takich przypadków i chociaż ludzie praktyczni szydzili, nikt bez potrzeby nie podróżował po zmroku po okolicy.

Jeśli duchy naprawdę odwiedzały miejsca nieszczęść, w których złamane zostało czyjeś serce, krajobraz Starej Ziemi musiał być domem niezliczonej liczby duchów i upiorów, a szczególnie region, przez który jechał bojowy wóz Kantena, gdzie każda skała, każda dolina, każda łąka i błotnista nizina pełna była ludzkich cierpień.

Księżyc stał wysoko na niebie. Wóz toczył się naprzód starożytną drogą. Popękane betonowe płyty lśniły blado w świetle księżyca. Dwa razy Xanten widział migoczące, pomarańczowe światła gdzieś z boku i raz wydało mu się, że dostrzega wysoki, cichy kształt obserwujący w milczeniu jego przejazd. Xanten doskonale zdawał sobie sprawę, że siedzący z tyłu Mek coś knuł. Bez swoich czułek musiał czuć się pozbawiony osobowości, oszołomiony, ale Xanten wiedział, że nie przeszkodzi mu to w drzemce.

Droga prowadziła przez miasto, w którym ciągle jeszcze stały niektóre budynki. Nawet nomadzi nie chronili się w tych ruinach, bojąc się bądź to wyziewów, bądź zapachu nieszczęścia. Księżyc stał w zenicie. Krajobraz rozblęsnął wszystkimi odcieniami srebra, czerni i szarości. Rozglądając się wokół, Xanten pomyślał, że pośród wszystkich ważniejszych przyjemności zapomniano o uroku i prostocie życia nomadów. Mek wykonał jakiś ukradkowy

ruch. Xanten nawet nie odwrócił głowy. Strzelił z bicza i jeniec uspokoił się.

Przez całą noc wóz toczył się starą drogą, podczas gdy księżyc tonął na zachodzie.

Wschodni horyzont świecił zielono i cytrynowożółto. W momencie, w którym zniknął błądy księżyc, znad dalekiej linii gór wstało słońce. Wtedy Xanten zauważył po prawej stronie dym. Zatrzymał wóz. Stał na siedzeniu i wyciągnął szyję, by w odległości około ćwierć mili ujrzeć obóz nomadów. Mógł rozróżnić trzy albo cztery tuziny namiotów różnych rozmiarów i tuzin zdezelowanych wozów bojowych. Wydało mu się, że na wysokim namiocie wodza rozpoznaje czarny ideogram. Jeśli tak było rzeczywiście, spotkał to plemię, które nie tak dawno wkroczyło na teren Hagedornu i zostało odparte przez O.Z. Garra.

Xanten usiadł z powrotem na siedzeniu, poprawił ubiór i skierował wóz w stronę obozu.

Stu mężczyzn w czarnych płaszczach, wysokich i szczupłych niby fretki, obserwowało, jak nadjeżdża. Dwunastu wystąpiło naprzód, nałożyło strzały na cięciwy i wycelowało je w serce Xantena, który obrzucił ich tylko wyniosłym spojrzeniem wyrażającym nieme zapytanie.

Skierował wóz w stronę namiotu wodza, zatrzymał go i wstał.

- Wodzu! - zawołał. - Czy nie śpisz?

Wódz rozsunął brezent zasłaniający wejście do namiotu, wyrztał na zewnątrz i po chwili wyszedł. Jak inni nosił ubranie z miękkiego, czarnego materiału, spowijającego jego głowę i ciało. Twarz widoczna była w kwadratowym otworze - wąskie, niebieskie oczy, groteskowo długi nos, broda długa, krzywa i ostra.

Xanten szorstko skinął mu głową.

- Popatrz na to - powiedział, wysuwając kciuk w kierunku Męka z tyłu wozu.

Wódz taksował wzrokiem Męka przez dziesięć sekund i zwrócił spojrzenie na Xantena.

- Jego rodzaj podniósł bunt przeciw szlachcie - powiedział Xanten. - Właściwie oni masakrują wszystkich ludzi na Ziemi. Dlatego my z zamku Hagedorn czynimy nomadom tę oto

propozycję. Przyjdźcie do Hagedorn. Ubierzemy was, nakarmimy i uzbroimy. Nauczymy was dyscypliny i prawdziwej sztuki wojennej. Damy wam najlepszych dowódców, jakich mamy.

Potem wyniszczymy Meków, wymażemy ich z powierzchni Ziemi, a gdy to się stanie, nauczymy was umiejętności technicznych i umożliwimy pozostanie w służbie zamków.

Wódz nie odpowiadał przez chwilę. Potem jego zachmurzona twarz przybrała złośliwy wyraz. Zupełnie niespodziewanie dla Xante-na przemówił dobrze modulowanym głosem:

- A więc wasze bestie nareszcie powstały, by was rozedrzeć! Szkoda, że tak długo czekali! Nam nie robi to żadnej różnicy. I wy, i wasze bestie jesteście obcy i wcześniej czy później wasze kości zbieleją. Xanten udawał, że nie rozumie.

- Jeśli właściwie cię zrozumiałem, twierdzisz, że w wypadku napadu obcych wszyscy ludzie muszą się zjednoczyć dla stoczenia bitwy, a potem współpracować dla wspólnych korzyści. Czy mam rację?

Wódz nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nie jesteście ludźmi. Tylko my, powstałi z gleby i wody Ziemi, jesteśmy ludźmi. Obcy jesteście wy i wasi dziwni niewolnicy. Życzymy wam powodzenia we wzajemnym wyrzynaniu się.

- No cóż. A jednak dobrze cię słyszałem. Przynajmniej jest jasne, że nie warto apelować do waszej lojalności. A więc może własny interes? Jeśli Mękom nie powiedzie się usunięcie szlachty z zamków, obrócą się przeciw nomadom, nawet jeśli ich liczba będzie równa liczbie mrówek.

- Jeśli nas zaatakują, odpowiemy im wojną - powiedział wódz. - W innym wypadku pozwolimy im robić, co zechcą.

Xanten w zamyśleniu popatrzył w niebo.

- Nawet teraz możemy chcieć przyjąć kontyngent nomadów do służby zamku

Hagedorn.

Z boku jakiś inny nomada zawołał napastliwym głosem:

- I wszyjecie nam pojemniki na swój syrop, co?!

- Syrop jest bardzo odżywczy i zaspokaja wszystkie potrzeby ciała - odpowiedział spokojnie Xanten.

- Więc czemu sami go nie używacie? Xanten nie raczył odpowiedzieć. Przemówił wódz:

- Jeśli chcecie dostarczyć nam broni, weźmiemy ją i skierujemy przeciw każdemu, kto będzie nam groził. Ale nie oczekuj od nas, byśmy was bronili. Jeśli się boicie, opuście zamki i stańcie się nomadami.

- Bać się! - wykrzyknął Xanten. - Co za nonsens! Nigdy! Zamek Hagedorn jest nie do zdobycia, podobnie jak Janeil i większość pozostałych zamków.

Wódz pokiwał głową.

- W każdej chwili moglibyśmy zdobyć Hagedorn i zabić was wszystkich podczas snu.

- Co?! - wrzasnął Xanten w przerażeniu. - Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Ciemną nocą wysłalibyśmy ludzi górą na wielkich latawcach i spuścili ich na blanki, za pomocą liny, wciągnęlibyśmy drabinę i w kwadrans zamek jest wzięty.

- Pomysłowe, ale niepraktyczne. Ptaki wykryłyby taki latawiec. Albo wiatr zawiódłby w krytycznym momencie... Ale wróćmy do sprawy. Meczy nie latają na latawcach. Zamierzają zaatakować Janeil i Hagedorn, a następnie sfrustrowani pójda na północ i zapolują na nomadów. - Xanten potarł brodę w zamyśleniu.

Wódz cofnął się o krok.

- No i co z tego? Przetrwaliśmy podobne próby ze strony mieszkańców Hagedorn.

Wszyscy są tchórzami. Jeden przeciw jednemu, dysponując tą samą bronią, kazalibyśmy wam

jeść pył jak psom, którymi jesteście.

Xanten podniósł brwi w wyrazie eleganckiej pogardy.

- Sądzę, że się zapominasz. Zwracasz się do głowy klanu zamku Hagedorn. Tylko związana z tym fatyga i znudzenie powstrzymują mnie od ukarania cię moim biczem.

- Bah - powiedział wódz. Skinął palcem na jednego ze swych łuczników. - Zdmuchnij to bezczelne paniątko.

Łucznik wypuścił strzałę, ale Xanten, spodziewając się takiego rozwoju wypadków, wypalił z pistoletu energetycznego, niszcząc strzałę, łuk i rękę łuczniaka.

- Widzę, że muszę nauczyć was podstawowego respektu dla lepszych od was. - Owinął wąskie ramiona wodza kilka razy swym biczem. - Niech to wam wystarczy. Nie mogę was zmusić do walki, ale mogę żądać stosownego szacunku. - Zeskoczył na ziemię, schwycił wodza i wepchnął go na tył wozu obok Męka. Następnie wycofał wóz i opuścił obóz, nie oglądając się za siebie. Oparcie fotela chroniło jego plecy przed strzałami.

Wódz wstał i wyciągnął swój sztylet. Kanlekko odwrócił głowę.

- Uważaj! Albo przywiążę cię za wozem i będziesz biegł za nim w pyle.

Wódz zawahał się. Popatrzył na swe ostrze i schował je do pochwy z mruknięciem.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Tutaj. - Xanten zatrzymał wóz. - Chciałem tylko opuścić twój obóz z godnością, bez pierzchania i chowania się przed gradem strzał. Możesz iść. Rozumiem, że nadal odmawiasz oddania swych ludzi w służbę zamku Hagedorn?

Wódz wydał dźwięk podobny do splunięcia.

- Gdy Meczy zniszczą zamki, my zniszczymy Meków i Ziemia będzie wolna od przybyszów z gwiazd.

- Jesteście bandą krnąbrnych dzikusów. Bardzo dobrze, wstań i wracaj do obozu.

Zastanów się dobrze, zanim ponownie okażesz brak szacunku głowie klanu Hagedorn.

- Bah - mruknął wódz. Zeskoczył z wozu i pobiegł w stronę swego obozu.

Około południa Kanten dotarł do Dalekiej Doliny na skraju ziem Hagedorn. Obok była wioska pokutników, malkontentów i neurasteników, jak określała ich szlachta - ogólnie mówiąc dziwaków. Kilku z nich miało pozycję godną pozazdroszczenia, inni byli mędrkami o uznanej erudycji, ale reszta to osoby bez godności czy reputacji, wyznające najdziwniejszą filozofię. Wszyscy wykonywali prace tradycyjnie przeznaczone dla Wieśniaków i wszyscy wydawali się czerpać perwersyjną satysfakcję z tego, co w ocenie ludzi z zamku było brudem, biedą i degradacją.

Zgodnie z oczekiwaniami nie tworzyli społeczności jednolitej. Niektórych można by nazwać „nonkonformistami” albo „dysocjacionistami”, inna grupa była „biernymi pokutnikami” i wreszcie pozostała mniejszość przekonywała do programu dynamicznego.

Między zamkiem i wioską utrzymywano słabe kontakty. Od czasu do czasu pokutnicy wymieniali owoce lub obrobione drewno za narzędzia, gwoździe, lekarstwa. Czasem też szlachta organizowała wyprawę, by obejrzeć tańce i śpiewy pokutników.

Xanten odwiedzał wioskę przy wielu takich okazjach i przyciągała go ona swym naturalnym urokiem, jak i swobodą mieszkających w niej ludzi. Teraz, przejeżdżając obok wioski, wjechał na trakt wiodący między wysokimi krzewami” czarnych porzeczek na niewielkie błonia, gdzie pasły się kozy i bydło. Xanten zatrzymał wóz w cieniu i zauważył, że zbiornik z syropem jest pełny. Odwrócił się do pojmanego.

- Co z tobą? Jeśli potrzebujesz syropu, nalej sobie. A, rzeczywiście, przecież ty nie masz pojemnika. Więc czym się do tej pory żywiłeś? Szlamem? Niesmaczna sytuacja. Obawiam się, że nic tu nie przypadnie ci do gustu. Wchłoń syrop lub chrup trawę, jak chcesz. Tylko nie próbuj oddalić się od wozu. Będę cię miał na oku.

Skulony w rogu Mek nie zareagował i nie poruszył się, by skorzystać z oferty Kantena.

Xanten podszedł do koryta z wodą i trzymając ręce pod wypływającym z rury strumykiem, opłukał twarz, a potem pociągnął jeden lub dwa łyki ze złożonych dłoni. Gdy się obrócił, stanął twarzą w twarz z dwunastoma mieszkańcami wioski. Jedno dobrze wiedział: człowiek, który mógł zostać Godalmingiem albo nawet Aurem i nie został, bez wątpienia był zarażony pokutnictwem.

- A.G. Philidorze, to ja, Xanten - pozdrowił uprzejmie.

- Oczywiście, Xanten. Ale tu nie jestem już A.G. Philidorem, jestem ledwie Philidorem.

Xanten skłonił się.

- Moje przeprosiny. Zapomniałem o waszej sztywnej nieformalności.

- Oszczędź mi swego dowcipu - odrzekł Philidor. - Po co przywozisz nam skrepowanego Męka? Może do adopcji? - Była to aluzja do zwyczaju szlachty z zamku polegającego na przyprowadzaniu do wioski ich nadprzydziałowych dzieci.

- Kto teraz popisuje się dowcipem? Ale czy nie znacie najnowszych wieści?

- Nowiny przychodzą tu ostatnie. Nawet nomadzi są lepiej poinformowani.

- Przygotuj się na niespodziankę. Meczy zbuntowali się przeciw zamkom. Halcyon i Delora są zniszczone, a ich mieszkańcy wymordowani. Być może inne zamki także.

Philidor potrząsnął głową.

- Nie jestem zaskoczony.

- Jak to, nic cię to nie obchodzi?

Philidor zastanowił się i odparł:

- Do pewnego stopnia. Nasze własne plany nigdy nie były wykonalne, a teraz wydają się jeszcze bardziej nierealne.

- Zdaje mi się - powiedział Xanten - że stajecie wobec ponurego i bezpośredniego niebezpieczeństwa. Meczy na pewno zamierzają zetrzeć z powierzchni ziemi nawet najmniejszy

ślad ludzkości. Nie uciekniecie.

Philidor wzruszył ramionami.

- Nie da się ukryć, że niebezpieczeństwo istnieje... Naradzimy się i zdecydujemy, co zrobić. '

- Myślę, że mam atrakcyjną propozycję - rzekł Xanten. - Naszym podstawowym zadaniem jest oczywiście stłumienie rewolty. Istnieje przynajmniej dwanaście wspólnot pokutników, liczących dwa lub trzy tysiące mieszkańców. Może więcej. Proponuję zaciągnąć i wyszkolić oddziały wysoce zdyscyplinowanych żołnierzy, wyposażonych w broń ze zbrojowni zamku i prowadzonych przez najlepszych strategów Hagedornu.

Philidor wpatrywał się w twarz Xantena z niedowierzaniem.

- Oczekujesz, byśmy my, pokutnicy, stali się waszymi żołnierzami?

- Dlaczego nie? Chodzi o wasze życie tak samo jak o nasze.

- Każdy umiera tylko raz.

Xanten obruszył się zaszokowany.

- Co? Czy to mówi były szlachcic z zamku Hagedorn? Czy tak wygląda twarz mężczyzny dumnego i odważnego, stojącego wobec niebezpieczeństwa? Czy to lekcja historii? Oczywiście, że nie! Nie muszę cię pouczać, znasz to równie dobrze jak ja.

Philidor skinął głową.

- Wiem, że historia człowieka to nie tylko jego triumfy techniczne, morderstwa i zwycięstwa. Składa się ona z wielu elementów. Jest mozaiką o tysiącu kawałków, zbiorem sposobów przystosowania człowieka do jego sumienia. Oto prawdziwa historia naszej rasy.

Xanten wykonał impertynencki gest.

- A.G. Philidorze, strasznie wszystko upraszczasz. Czy uważasz, że jestem tępą?

Istnieje wiele rodzajów historii. Wszystkie one oddziałują wzajemnie na siebie. Ty kładziesz

nacisk na moralność. Ale ostateczną podstawą moralności jest przeżycie. To, co umożliwia przeżycie, jest dobre, co wprowadza zagrożenie, jest złe.

- Dobrze powiedziane - stwierdził Philidor. - Ale pozwól mi zaproponować ci przypowieść. Czy naród składający się z miliona istot może zabić stworzenie, które w innym wypadku zarazi wszystkich jakąś śmiertelną chorobą? Powiesz, że tak. Jeszcze raz. Poluje na ciebie dziesięć bestii, aby zaspokoić głód. Czy zabijesz je, by ratować swoje życie? Tak, powiesz znowu, choć zniszczysz więcej niż ocalisz. Jeszcze raz. Człowiek zamieszkuje szałas w samotnej dolinie. Sto statków kosmicznych ląduje i próbuje go zniszczyć. Czy może on zniszczyć te statki w samoobronie, choć on jest jeden, a ich jest sto? Być może powiesz, że tak. A co jeśli cały świat, cała rasa istot zechce zniszczyć jednego człowieka? Czy może on zabić wszystkich? A co, jeśli atakujący są ludźmi jak on sam? A co, jeśli byłby on osobą, która może zarazić jakąś chorobą cały świat? Jak widzisz, istnieją problemy, w których zwykle kryteria nie pomagają wcale. My szukaliśmy i nie znaleźliśmy żadnych.' Dlatego, ryzykując grzech przeciw przetrwaniu, my, a przynajmniej ja, bo mogę mówić tylko za siebie, wybrałem moralność, która daje mi przynajmniej spokój. Nie zabijam niczego. Nie niszczę niczego.

- Bah - pogardliwie mruknął Xanten. - Czy jeśli oddział Meków wszedłby do doliny i zacząłby zabijać twoje dzieci, nie broniłbyś ich?

Philidor zaciął wargi i odwrócił się. Przemówił inny mężczyzna:

- Philidor zdefiniował moralność. Ale któż jest absolutnie moralny? Philidor, ja lub ty moglibyśmy w takiej sytuacji odstąpić od moralności.

- Rozejrzyj się - powiedział Philidor. - Czy poznajesz tu kogoś?

Xanten przyjrzał się grupie. Obok stała niezwykle piękna dziewczyna. Nosiła białą koszulę, a czerwony kwiat zdobił opadające na ramiona, czarne włosy. Xanten skinął głową.

- Widzę dziewczynę, którą O.Z. Garr chciał włączyć do swojego gospodarstwa

domowego w zamku.

- Dokładnie - powiedział Philidor. - Czy przypominasz sobie okoliczności?

- Bardzo dobrze - odparł Xanten. - Był ostry sprzeciw ze strony rady notabli, z powodu zagrożenia dla naszych praw kontroli urodzeń. O.Z. Garr próbował obejść prawo. „Trzymam Phanów”, twierdził. „Czasem mam ich sześć lub osiem i nikt słowem nie protestuje. Nazwę tę dziewczynę Phanem i będę ją trzymał z innymi”. Ja i inni zaprotestowaliśmy. Omal nie doszło z tego powodu do pojedynku między mną a O.Z. Garrem. Garr zmuszony był porzucić dziewczynę. Oddana została pod moją opiekę i ja przywiozłem ją z Dalekiej Doliny.

- Wszystko to prawda - Philidor skinął głową. - Próbowaliśmy odwieść Garra od tego.

Odmówił i zagroził nam swym orszakiem myśliwskim, składającym się z trzydziestu Meków.

Staliśmy z boku. Czy jesteśmy moralni? Czy jesteśmy silni, czy słabi?

- Czasem lepiej ignorować moralność - powiedział Xanten. - Nawet jeśli O.Z. Garr jest szlachcicem, a wy pokutnikami... Wracając do Meków. Niszczą oni zamki i wszystkich ludzi na Ziemi. Jeśli moralność oznacza nieruchomą akceptację, moralność musi być porzucona.

- Cóż za niezwykła sytuacja! - zaśmiał się kwaśno Philidor. - Meczy są tutaj, podobnie jak Ptaki, Phani i Wieśniacy. Pomieszani, przetransportowani i zniewoleni dla ludzkiej przyjemności. Zaprawdę, sytuację tę wywołały nasze winy, za które musimy pokutować, a ty chcesz, byśmy o nich zapomnieli!

- Jest błędem zbytnie rozpamiętywanie przeszłości - powiedział Xanten. - Jeśli jednak chcecie zachować możliwość rozpamiętywania, proponuję, byście już teraz stanęli przeciw Mękom albo przynajmniej schronili się w zamku.

- Nie ja - rzekł Philidor. - Może inni tak zrobią.

- Będziesz czekał, aż zostaniesz zabity?

- Nie. Ja, i bez wątplenia inni, schronimy się w odległych górach.

Xanten wdrapał się z powrotem na pokład wozu bojowego.

- Jeśli zmienicie zdanie, przyjdźcie do Hagedorn.

Odjechał. Droga wiodła przez dolinę, wiła się przez wzgórza, przekroczyła grzbiet.

Daleko, na tle nieba, rysowała się sylwetka zamku Hagedorn.

Rozdział 4

Xanten składał raport radzie:

- Statki kosmiczne nie mogą zostać użyte. Meczy całkowicie je zniszczyli. Pomysł poproszenia o pomoc Ojczystych Światów jest bez sensu.

- Smutne wieści - powiedział Hagedorn, robiąc kwaśną minę. - A więc to wszystko na ten temat.

Xanten kontynuował:

- Wracając wozem bojowym, napotkałem plemię nomadów. Wezwałem wodza i wyjaśniłem mu, jakie korzyści odniósłby ze służby dla zamku Hagedorn. Boję się jednak, że nomadom brakuje przyzwoitości i poczucia posłuszeństwa. Wódz udzielił tak obraźliwej odpowiedzi, że natychmiast opuściłem ze wstrętem obóz. W Dalekiej Dolinie odwiedziłem wioskę pokutników, czyniąc im tę samą propozycję, ale bez wielkiego powodzenia. Są oni w takim samym stopniu idealistami, jak nomadzi prostakami. I nomadzi, i pokutnicy chcą uciekać. Pokutnicy mówili coś o schronieniu się w górach, a nomadzi prawdopodobnie uciekną w stepy.

- Co im da ta ucieczka? - parsknął Beaudry. - Może zyskają kilka lat, ale na pewno Meczy dogonią i ich z tą swoją metodycznością.

- W tym czasie - drażliwie stwierdził O.Z. Garr - moglibyśmy ku ogólnemu pożytkowi przekształcić ich w dobrze wyszkolone oddziały wojskowe. Niech więc szeszna. My jesteśmy bezpieczni.

- Bezpieczni, tak. Ale co będzie, jeśli wysiądzie zasilanie? Jeśli popsują się windy? Jeśli zawiedzie klimatyzacja i udusimy się lub zamarzniemy? Co wtedy? - pytał ponuro Hagedorn.

O.Z. Garr potrząsnął głową.

- Musimy uodpornić się na to, co uderza w naszą godność, jak tylko to będzie możliwe.

Choć urządzenia zamku są w dobrym stanie i nie spodziewam się większych defektów przez najbliższe pięć, dziesięć lat. W tym czasie wiele może się zdarzyć.

W końcu przemówił Claghorn, siedzący obojętnie w swoim fotelu:

- Jest to program całkowicie bierny. Podobnie jak dezercja pokutników i nomadów nie sięga on poza moment obecny.

- Claghorn wie równie dobrze jak ja, że nie ustępuję nikomu w dworskiej szczerości, optymizmie i bezpośredniości, w cnotach, które są przeciwieństwem bierności - uprzejmym tonem powiedział O.Z. Garr. - Ale odmawiam poświęcania uwagi jakimś głupim niewygodom. Jak można nazwać to biernością? Czy szlachetny i wartościowy Claghorn ma inną propozycję, jak skutecznie utrzymać nasz status, nasz poziom życia, nasz szacunek do samych siebie?

Claghorn wolno skinął głową z mdłym półuśmiechem, który dla O.Z. Garra oznaczał obrzydliwe zadowolenie z siebie.

- Istnieje prosta i efektywna metoda pokonania Meków.

- Więc na co czekasz?! - krzyknął Hagedorn. - Chcemy o niej usłyszeć!

Claghorn popatrzył dookoła pokrytego czerwonym aksamitem stołu, przyglądając się wszystkim twarzom. Beznamiętny Xanten; Beaudry, krzepki, zimny, z zastygłym na twarzy tradycyjnym wyrazem szyderstwa; stary Isseth, przystojny, postawny, buńczuczny i pełen sił witalnych niczym kadet; Hagedorn, stroskany, pochmurny, wyraźnie zakłopotany; elegancki Garr; Overwhele, rozmyślając z wściekłością o niewygodach przyszłości; Aurę, bawiący się tabliczką z kości słoniowej, znudzony, markotny lub zrezygnowany; i inni, pokazujący zwątpienie, oczekiwanie nieszczęścia, hardość, gniew, niecierpliwość; w przypadku Floya cichy uśmiech albo, jak później określił to Isseth, afektowany grymas idioty, przeznaczony dla pokazania jego dystansu do całej tej nieprzyjemnej sprawy.

Claghorn spuścił oczy i potrząsnął głową.

- Nie ogłoszę tego planu. Boję się, że jest on niewykonalny. Ale muszę zaznaczyć, iż niezależnie od środków zamek Hagedorn nie będzie taki jak wcześniej, nawet jeśli przeżyjemy atak Meków.

- Ha! - krzyknął Beaudry. - Tracimy godność, stajemy się pośmiewiskiem, nawet rozmawiając o tych bestiach.

Xanten poruszył się.

- Jest to niesmaczny temat, ale pamiętajcie! Halcyon jest zniszczony, także Delora i nie wiadomo który zamek jeszcze. Nie chowajmy głów w piasek! Meczy nie odejdą tylko dlatego, że ich zignorujemy.

- W każdym razie Janeil i my jesteśmy bezpieczni. Reszta ludności może schronić się u nas, jeśli będą potrafili wyjaśnić i usprawiedliwić przed sobą ucieczkę. Osobiście wierzę, że wkrótce Meczy ukorzą się, gotowi wrócić - powiedział O.Z. Garr.

Hagedorn ponuro potrząsnął głową.

- Trudno mi w to uwierzyć. Ale dobrze, kończymy obrady.

System komunikacji radiowej był pierwszym z wielu urządzeń elektrycznych i mechanicznych zamku, które się zepsuło. Awaria zdarzyła się tak szybko i nagle, że pewni teoretycy, szczególnie I.K. Harde i Uegus, uważali to za sabotaż Meków. Inni nadmieniali, że system nigdy nie był całkowicie godny zaufania i Meczy musieli stale majstrować w jego obwodach, że awaria była tylko wynikiem błędnej konstrukcji.

I.K. Harde i Uegus dokonali inspekcji trudnego do obsługi aparatu, nie byli jednak pewni przyczyny awarii. Po półgodzinie konsultacji uzgodnili, że jakakolwiek próba przywrócenia urządzenia do życia wymagałaby ponownego zaprojektowania i zmontowania, z konsekwentnym wbudowaniem urządzeń testujących i kalibrujących oraz fabrykacji całkowicie nowych części.

- Jest to całkowicie niemożliwe - stwierdził Uegus, zdając raport przed radą. - Nawet najprostszy system zdolny do użytku wymagałby lat pracy wyspecjalizowanych techników.

Poza tym, nie mamy pod ręką takich' specjalistów. Musimy czekać na możliwość wyszkolenia siły roboczej.

- Podsumowując - powiedział Isseth, najstarszy spomiędzy głów klanów - nie byłibyśmy zbyt przeznani. Niezależnie od tego, że mieszkańcy Ojczystych Światów są parweniuszami, ludzie bystrzejsi niż my utrzymaliby kontakt między światami.

- Brak bystrości i przezorności nie były decydującymi czynnikami - stwierdził

Claghorn. - Komunikacja została zerwana, ponieważ pierwsi lordowie nie chcieli, by Ziemia została przejęta przez parweniuszy z Ojczystych Światów. To proste.

Isseth chrząknął i chciał odpowiedzieć, ale przerwał mu Hagedorn:

- Niestety, zgodnie z tym, co powiedział Xanten, statki są bezużyteczne i choć wielu z nas dysponuje głęboką wiedzą teoretyczną, któż mógłby wykonać taką pracę? Nawet gdyby

statki i hangary były pod naszą kontrolą.

- Daj mi sześć plutonów Wieśniaków i sześć wozów bojowych zaopatrzonych w ciężkie działa energetyczne, a bez problemów odzyskam hangary - zadeklarował O.Z. Garr.

- Hm, to już coś. Będę asystował przy ćwiczeniu Wieśniaków i chociaż nie znam się na operowaniu działem, możecie polegać na moich radach - powiedział Beaudry.

Hagedorn rozejrzał się, zmarszczył brwi i oparł głowę na dłoni.

- Widzę tu pewne trudności. Po pierwsze mamy tylko ten wóz bojowy, który przyprowadził Xanten. Co z działami energetycznymi? Czy ktoś je obejrzał? Powierzyliśmy Mękom ich utrzymanie, ale możliwe, a nawet prawdopodobne, że i tu dokonali jakiegoś łotrostwa. O.Z. Garr, jesteś uznawany za wybitnego wojskowego. Czy możesz powiedzieć nam coś o tej sprawie?

- Dotychczas nie przeprowadziłem żadnego przeglądu - stwierdził O.Z. Garr. - A dziś pokaz Antycznych Płaszczy zajmie nas do Godziny Chwalenia Zachodzącego Słońca*.

- Spojrzał na zegarek. - To chyba dobra pora, by zakończyć nasze zebranie, dopóki nie będę mógł dostarczyć bardziej szczegółowych informacji o działach.

Hagedorn ciężko skinął głową.

- Rzeczywiście, już późno. Czy twoi Phani dzisiaj występują?

- Tylko dwaj - odpowiedział O.Z. Garr. - Lazula i Jedenasta Tajemnica. Nie mogę znaleźć nic pasującego do Wykwintnego Materiału Cienkiego jak Pajęczyna i mojej małej Niebieskiej Fay, a Gloriana nadal musi się uczyć. Dziś Yaliflor B.Z. Maxelwana powinien przykuć uwagę wszystkich.

- Tak - przytaknął Hagedorn - słyszałem coś na ten temat. A więc do jutra. Aha, Claghornie, czy masz coś jeszcze do powiedzenia?

- Tak - odparł miękko zapytany. - Mamy mało czasu do dyspozycji i dlatego

powinniśmy go dobrze wykorzystać. Szczerze wątpię w skuteczność oddziałów złożonych z Wieśniaków. Wysyłać ich przeciw Mękom to jak wysyłać zające przeciw wilkom. To, czego potrzebujemy, to pantery.

- Ach tak. Tak, w istocie - powiedział beznamiętnie Hagedorn.

- Gdzie znaleźć te pantery? - Claghorn rozejrzał się pytająco po zebranych. - Czy nikt nie zna źródła? Szkoda. W takim razie, jeśli nie ma panter, muszą wystarczyć zające.

Skoncentrować się musimy na tym, jak przemienić zające w pantery. Proponuję, by zawiesić wszelkie uroczystości i święta, do czasu, gdy nasza sytuacja będzie pewniejsza.

Hagedorn uniósł brwi, otworzył usta, by coś powiedzieć i ponownie je zamknął.

Spojrzał na Claghorna, by upewnić się, że ten nie żartował. Niepewnie popatrzył dookoła stołu.

Beaudry roześmiał się hałaśliwie.

- Zdaje się, że erudyte Claghorna strach obleciał.

- W imię godności nas wszystkich nie możemy pozwolić, by impertynencja naszych sług wzbudzała taki popłoch. Czuję się zawstydzony, że podnosisz tę kwestię - stwierdził O.Z.

Garr

- Ja nie czuję się zawstydzony - powiedział Claghorn z samozadowoleniem tak

drażniącym Garra. - Nie widzę powodu, dla którego powinienem tak się czuć. Nasze życie jest

* Przegląd albo pokaz Antycznych Płaszczy, Godzina Chwalenia Zachodzącego Słońca. Sens pierwszego terminu

jest dosłowny. Drugie określenie stało się formalną frazą, oznaczającą późne popołudnie, kiedy to składano

wizyty, pito wino, likiery i ekstrakty. W skrócie był to czas relaksu i pogawędki przed bardziej formalnym

nastrojem obiadu.

zagrożone i w takiej sytuacji odrobina wstydu jest sprawą mniejszej wagi.

O.Z. Garr wstał i, by obrazić Claghorna, wykonał w jego kierunku groteskowy ukłon.

Claghorn w odpowiedzi wykonał podobne pozdrowienie, tak uroczyste i skomplikowane, że oddawało obrazę Garra z burleskowym przejawieniem. Xanten, który nienawidził O.Z. Garra, zaśmiał się głośno.

O.Z. Garr zawahał się, ale zdał sobie sprawę, iż kontynuowanie rozmowy w takich okolicznościach poczytane byłoby za przejaw złego gustu, i wyszedł z pokoju.

Przeгляд Antycznych Płaszczy był coroczną uroczystością, pokazem Phanów we wspaniałych, pełnych przepychu strojach. Odbывał się w Wielkiej Rotundzie, wznoszącej się po północnej stronie centralnego placu. Może połowa szlachciców i mniej niż czwarta część dam trzymała Phany. Były to stworzenia pochodzące z jaskiń księżycy planety Albireo Siedem, zaliczane do łagodnej, uczuciowej i wesołej rasy, która po tysiącach lat hodowli przypominała smukłe dziewczyny, sylfidy. Owinięte delikatną gazą, wychodzącą z małych otworów za uszami i opadającą wzdłuż ramion i pleców, były najbardziej łagodnymi z istot, zawsze gotowymi sprawić przyjemność, niewinnie próżnymi. Większość szlachciców darzyła Phany uczuciem, ale plotki mówiły o damach moczących znieawidzone Phany w roztworze amoniaku, który na zawsze niszczył gazę i splątywał sierść.

Szlachcic ogłupiony przez Phana był ogólnym pośmiewiskiem. Jeśli Phan początkowo przypominający delikatną dziewczynę, został wykorzystany seksualnie, stawał się zmarszczony i wymizerowany. Jego gaza zwisała i traciła kolor, a każdy wiedział, że taki a taki szlachcic źle obszedł się z Phanem. Przynajmniej z tego powodu kobiety z zamku mogły obnosić się ze swą wyższością, prowadząc się tak fatalnie, że przy nich Phany wydawały się najdelikatniejszymi z duchów natury. Ich życie trwało około trzydziestu lat. Przez ostatnie dziesięć lat, gdy traciły swe piękno, otulały się płaszczykiem szarej gazy i wykonywały służebne funkcje w buduarach, kuchniach, spiżarniach, przebieralniach oraz pracowały jako pielęgniarki.

Przeгляд Antycznych Płaszczy był raczej przeglądem Phanów niż płaszczy, choć one same były również piękne.

Właściciele Phanów siedzieli w niższej kondygnacji, pełni dumy i nadziei, triumfując po wspaniałym pokazie i spadając w otchłań wstydu, gdy rytualne ruchy pozbawione były

gracji i elegancji. Podczas każdego występu szlachcie pochodzący z innego klanu niż właściciel Phana grał na lutni wysoce kunsztowną melodię. Pokaz nie był otwartym współzawodnictwem i niedozwolona była jakakolwiek forma publicznego aplauzu, ale widzowie dawali do zrozumienia, który z Phanów był najbardziej zachwycający i wdzięczny, co podnosiło znacznie reputację właściciela.

Obecny Przegląd był opóźniony o około pół godziny z powodu Meków i wymagał kilku szybkich improwizacji. Ale szlachta zamku Hagedorn nie była w nastroju do krytykowania i nie zważała na potknięcia, gdy tuzin młodych samców Wieśniaków wykonywał obce im zadania. Phani byli zachwycający jak zwykle. Kłaniali się, obracali i kołysali w rytm jękliwych tonów lutni, potrząsali swymi woalami, jakby czując krople deszczu, nagle kucali i sunęli, potem wyskakiwali w górę i prostowali się. W końcu kłaniali się i schodzili z podium. W połowie programu do Rotundy zbliżył się Wieśniak i wyszeptał coś do kadeta, który podszedł, by dowiedzieć się, o co chodzi. Kadet natychmiast pobiegł do błyszczącej, czarnej jak smoła łoży Hagedorna. Hagedorn wysłuchał, skinął głową, powiedział kilka słów i spokojnie opadł na siedzenie, jak gdyby wiadomość nie miała żadnego znaczenia, co uspokoiło publiczność.

Widowisko trwało. Para należąca do O.Z. Garra miała niezwykle udany pokaz, ale wszyscy czuli, że Lirlin, młody Phan należący do Issetha Floya Cazunetha, uczestniczący po raz pierwszy w formalnym pokazie, zrobił najbardziej olśniewające wrażenie.

Phani pojawili się po raz ostatni, przesuając się razem w improwizowanym menuecie, oddali na pół wesoły, na pół smutny pokłon--pozdrowienie i opuścili Rotundę. Przez kilka chwil większość szlachciców i dam pozostawał w swych łożach, dopijając ekstrakty, omawiając pokaz, plotkując o romansach i przydziałach. Hagedorn siedział ponury, bawiąc się palcami. Nagle wstał. W Rotundzie zapadła cisza.

- Przykro mi przerwać smutną wiadomością tak radosne wydarzenie. Ale otrzymałem właśnie wieści i myślę, że wszyscy powinni je znać. Zaatakowany został zamek Janeil. Meczy uderzyli wielką siłą, setkami wozów bojowych. Usypali wały uniemożliwiające użycie działa energetycznego z zamku. Nie ma w tej chwili niebezpieczeństwa dla Janeil i trudno zrozumieć, co Meczy chcą osiągnąć pod jego wysokimi na dwieście stóp murami. Nowina jest jednak przykra i myślę, że możemy spodziewać się tego samego, choć jeszcze trudniej zrozumieć, jak Meczy mieliby nam zagrozić. Nasza woda wypływa z głębokich studni. Mamy dużo zapasów jedzenia. Nasza energia pochodzi ze słońca. W ostateczności możemy syntetyzować jedzenie z powietrza, o tym przynajmniej zostałem upewniony przez naszych wybitnych teoretyków biochemików. Ale jest to smutna nowina. Wsnujcie z niej wnioski, jakie chcecie. Jutro zbierze się rada notabli.

Rozdział 5

- A więc - zaczął Hagedorn - choć raz opuśćmy wszelkie formalności. Co z działami? - zwrócił się do O.Z. Garra.

O.Z. Garr, ubrany we wspaniały, szarozielony mundur Dragonów Overwhele ostrożnie położył swój hełm na stole, tak że pióropusz sterczał w górę.

- Z dwunastu dział cztery wydają się normalnie funkcjonować. Pozostałe zostały zniszczone w wyniku sabotażu przez odcięcie doprowadzenia mocy. Wydałem rozkaz sześciu Wieśniakom, okazującym minimum sprawności umysłowej i zdolności mechanicznych, i poinstruowałem ich o szczegółach. Montują teraz złącza. To wszystko.

- Umiarkowanie dobre wieści - powiedział Hagedorn. - Co z proponowanymi oddziałami uzbrojonych Wieśniaków?

- Rozkazy są wykonywane. A.F. Muli i I.A. Berzeliusz przeprowadzają inspekcję Wieśniaków pod kątem rekrutacji i wyszkolenia. Nie można oczywiście przeceniać skuteczności takich oddziałów, nawet jeśli będą szkolone i dowodzone przez A.F. Mulla, LA. Berzeliusza i mnie. Wieśniacy są łagodną, spokojną rasą nadającą się świetnie do wrywania chwastów, ale bez serca do walki.

Hagedorn rozejrzył się po twarzach członków rady.

- Czy są jakieś inne sugestie?

Beaudry przemówił ostrym, wściekłym głosem:

- Gdyby buntownicy nie uprowadzili naszych wozów bojowych, wywieźlibyśmy działa na zewnątrz. Teraz może wystarczą do tego Wieśniacy. Moglibyśmy podjechać do Janeil i natrzeć na Meków od tyłu.

- Ci Meczy to prawdziwe diabły wcielone! - stwierdził Aurę. - Cóż oni mają na myśli, robiąc to wszystko? Dlaczego zwariowali po tylu wiekach?

- Wszyscy zadajemy sobie te same pytania - powiedział Hagedorn. - Xanten, wróciłeś z rekonesansu z jeńcem. Czy już próbowałaś go przesłuchać?

- Nie. Prawdę mówiąc, nie myślałem o nim od tamtego czasu - odparł Xanten.

- Dlaczego nie spróbujesz? Być może dostarczy nam kilku wskazówek. Xanten skinął głową.

- Mogę spróbować, choć szczerze mówiąc, nie spodziewam się rewelacji.

- Claghorn, ty jesteś ekspertem od Meków - spytał Beaudry. - Czy pomyślałbyś, że są oni zdolni do przygotowania tak skomplikowanego spisku? Co chcą zyskać? Nasze zamki?

- Oni są z pewnością zdolni do dokładnego i metodycznego planowania - odpowiedział Claghorn. - Ich bezwzględność zadziwia mnie, być może bardziej niż powinna. Nigdy nie zauważyłem, żeby pożąдали naszej własności, nie są skłonni do rozróżniania uczuć. Często spekulowałem, nie zaszczycę tego nawet mianem teorii, że logiczna struktura ich mózgu jest bardziej konsekwentna, niż nam się wydaje. Nasze mózgi są tak wspaniałe właśnie ze względu na całkowity brak racjonalnej struktury. Biorąc pod uwagę losowy sposób, w jakim myśli są formowane, zapisywane, oznaczane i przypominane, każdy pojedynczy akt racjonalny graniczy z cudem. Być może nie jesteśmy zdolni do racjonalności, być może wszystkie nasze myśli są zbiorem impulsów generowanych przez jedną emocję, monitorowanych przez drugą, zatwierdzanych przez trzecią. W przeciwieństwie do nas Meczy posiadają mózg, który jest cudem czegoś, co wydaje się planową budową. Jest kubiczny i składa się z mikroskopijnych komórek połączonych organicznymi włóknami, z których każde jest pojedynczą molekułą o bardzo małym oporze elektrycznym. Każdą komórkę otacza okrywa z silikonu, płynu o zmiennych właściwościach dielektrycznych i przewodzących, złożonej mikstury tlenków metali. Mózg zdolny jest do przechowywania wielkiej ilości informacji w uporządkowanej formie. Żaden fakt nie zostaje zagubiony. Może jednak zostać celowo zapomniany, gdyż taką

zdolność posiadają Meczy. Mózg ich funkcjonuje również jako radiowy aparat nadawczo-odbiorczy, możliwe że również jako radar, choć jest to jedynie spekulacja. Słabą stroną mózgu Męka jest brak specyfiki emocjonalnej. Jeden Mek jest dokładnie taki sam jak drugi, bez żadnej różnicy osobowości zauważalnej dla nas. Jest to oczywiście zasługa ich systemu komunikacji. W takich warunkach nie mogła wykształcić się zindywidualizowana osobowość. Służyli nam dobrze, jak sądziliśmy, ponieważ warunki, w jakich żyli, nie wzbudzały w nich żadnych uczuć. Ani dumy z osiągnięć, ani urazy, ani wstydu. Nie kochali nas i nie nienawidzili, podobnie jak nie robią tego teraz. Trudno nam wyobrazić sobie tę wewnętrzną pustkę, gdyż każdy z nas coś czuje do każdej części otaczającego nas świata. My żyjemy w kłębowisku emocji. Oni są ich pozbawieni jak kostka lodu. Byli żywieni, mieli dach nad głową i utrzymanie, które im wystarczało. Dlaczego się zbuntowali? Długo nad tym rozmyślałem, ale prosty wniosek, do którego doszedłem, wydaje mi się tak groteskowy i nierealny, że nie chcę potraktować go poważnie. Jeśli jest poprawnym wytłumaczeniem... - zamilkł.

- No i? - zażądał O.Z. Garr. - Co teraz?

- Teraz? Teraz wszystko wygląda tak samo. Poświęcili się zniszczeniu ludzkiej rasy.

Moje spekulacje niczego nie zmieniają.

Hagedorn zwrócił się do Xantena:

- Powinieneś mieć to wszystko na uwadze podczas przesłuchania.

- Chciałem zaproponować, by Claghorn mi asystował, jeśli ma na to ochotę - powiedział Xanten.

- Jak chcesz - odparł Claghorn. - Choć uważam, że te informacje nie mają znaczenia.

Powinniśmy skupić się na odparciu wroga i sposobach przeżycia.

- I z wyjątkiem panter, o których wspomniałeś podczas ostatniego posiedzenia, nie

możesz zaproponować nam żadnej wyrafinowanej broni? - zapytał zadumany Hagedorn. -

Może zastosować urządzenie wywołujące zakłócenia elektryczne w ich mózgach lub coś w tym rodzaju?

- Niemożliwe - odparł Claghorn. - Pewne organy w ich mózgach działają jak

bezpieczniki. Choć może w takim wypadku nie mogłyby się one komunikować. - Po chwili

zamyślenia dodał: - Kto wie? A.G. Bernal i Uegus są świetnymi teoretykami od takich spraw.

Być może będą potrafili skonstruować stosowne urządzenie.

Hagedorn z powątpiewaniem skinął głową i popatrzył na Uegusa.

- Czy to możliwe?

- Zbudować? - obruszył się Uegus. - Mogę oczywiście zaprojektować takie urządzenie,

ale skąd mam wziąć części? Rozrzucone są teraz po składach. Niektóre działają, inne nie. By

zrobić coś porządnie, muszę stać się kimś nie lepszym od pomocnika Męka - rozzłościł się, a

jego głos zadźwięczał ostro. - Trudno mi uwierzyć, że zostałem zmuszony do powiedzenia

tego. Czy tak nisko oceniacie moje talenty?

Hagedorn pospieszył z zapewnieniem:

- Oczywiście, że nie! Nikt nie pomyślał o kwestionowaniu twej godności. Nigdy!

- Nigdy! - zgodził się Claghorn. - Ale w takiej sytuacji jesteśmy zmuszeni do czynienia

rzeczy niegodnych i chyba lepiej, żebyśmy sami zdecydowali się na kompromis.

- Proszę bardzo - powiedział Uegus z niewesołym uśmiechem. - Pójdiesz ze mną do

składu. Ja będę pokazywał części, a ty będziesz je wyciągał i łączył. Co ty na to?

- Z przyjemnością, jeśli przyniesie to jakiś pożytek. Trudno będzie mi jednak wykonać

pracę tuzina różnych specjalistów. Kto pójdzie ze mną?

Nikt nie odpowiedział. Cisza była absolutna, jak gdyby każdy z obecnych szlachciców

wstrzymał oddech.

Hagedorn chciał się odezwać, ale uprzedził go Claghorn.

- Wybacz, Hagedornie, ale napotyamy tu podstawowy problem, który musi zostać rozwiązany.

Zdesperowany Hagedorn rozejrzał się po radzie.

- Czy ktoś ma związaną ze sprawą uwagę?

- Claghorn robi to, co podpowiada mu jego natura - stwierdził O.Z. Garr aksamitnym głosem. - Nie mogę niczego mu dyktować, ale sam osobiście nigdy nie zhańbiłbym mego statusu szlachcica z Hagedorn. To moje credo, jest dla mnie naturalne jak oddychanie i jeśli bym od niego odstąpił, stałbym się parodią szlachcica, groteskową maską samego siebie. To jest zamek Hagedorn, a my jesteśmy elitą i kulminacją ludzkiej cywilizacji. Dlatego każdy kompromis staje się degradacją, a celowa rezygnacja z naszych norm plamą na honorze. Słyszałem, jak ktoś używał tu słowa „konieczność”. Cóż za żalostny pogląd! Zaszczycenie słowem „konieczność” kłapania i zgrzytania Meków podobnych szczurom, uważam za rzecz niegodną szlachcica z Hagedorn!

Pomruk poparcia obiegł stół rady.

Claghorn przechylił się do tyłu na krześle, opierając brodę na piersiach, jakby odpoczywał. Jego czyste, niebieskie oczy przesuwają się od twarzy do twarzy, aż zatrzymały się na O.Z. Garrze, którego badały z beznamiętnym zainteresowaniem.

- Z pewnością kierujesz swoje słowa do mnie - powiedział. - I doceniam zawartą w nich złośliwość. Ale jest to sprawa małego znaczenia. - Odwrócił wzrok od Garra i wpatrzył się w brylantowo-szmaragdowy żyrandol wiszący w górze. - Większe znaczenie ma fakt, że wbrew moim gorącym perswazjom cała rada zdaje się podzielać twój pogląd na tę sprawę. Nie mogę dłużej molestować, czynić wymówek i przekonywać was i dlatego opuszczę teraz zamek Hagedorn. Panująca tu atmosfera dusi mnie. Chciałbym wierzyć, że przetrwacie atak Me-ków,

choć wątpię w to. Są oni bystrą, pełną możliwości rasą, nie skrepowaną uprzedzeniami i wyrzutami sumienia. Zbyt długo ich nie docenialiśmy. - Claghorn powstał i włożył tabliczkę z kości słoniowej na miejsce. - Żegnam was wszystkich. '

Hagedorn skoczył na równe nogi i wyciągnął błagalnie rękę.

- Nie odchodź z gniewem w sercu, Claghornie! Przemyśl to jeszcze! Potrzebujemy twojej mądrości, twojego zdania!

- Niewątpliwie potrzebujecie - odparł Claghorn. - Ale jeszcze bardziej potrzebujecie działania w myśl rady, którą wam przedłożyłem. Dopóki się nie zdecydujecie na nie, nic nas nie łączy i wszelka dyskusja jest męcząca i bezcelowa. - Wykonał krótki, skierowany do wszystkich ukłon i wyszedł z sali.

Hagedorn powoli zajął swe miejsce. Inni ruszali się niespokojnie, kaszleli, patrzyli na żyrandol lub wpatrywali się w swoje tabliczki. O.Z. Garr wyszeptał coś do siedzącego obok B.F. Wyasa i poważnie skinął głową. Wreszcie Hagedorn przemówił smętnym głosem:

- Będzie nam brakować obecności Claghorna, jego przenikliwego i nowatorskiego spojrzenia... Niewiele osiągnęliśmy. Uegusie, może ty poddasz jakiś projekt. Xanten, miałeś przesłuchać złapanego Męka. O.Z. Garr, z pewnością dopilnujesz naprawy dział energetycznych... Poza tymi drobnymi działaniami nie doszliśmy do jakiegoś ogólnego planu, który mógłby pomóc nam lub Janeil.

Przemówił Marune:

- Co z innymi zamkami? Czy jeszcze istnieją? Nie mamy żadnych wieści. Wnoszę, by wysłać Ptaki na zwiady.

- Tak, to mądry ruch - skinął głową Hagedorn. - Może zechcesz dopilnować tego, Marunę?

- Dobrze, zrobię to.

- Dobrze. Zamykam zebranie.

Jeden po drugim powracały Ptaki wysłane przez Marune'a z klanu Aurę. Ich raporty były podobne.

- Wyspa Morza jest spustoszona. Marmurowe kolumny leżą przewrócone na plaży.

Perłowy Gmach w ruinie. W Wodnym Ogrodzie pływają ciała.

- Maraval cuchnie śmiercią. Szlachta, Wieśniacy, Phani, wszyscy nie żyją. O, nieszczęsny dniu! Nawet Ptaki opuściły ruiny!

- Delora, roś, roś, roś! Co za ponura scena! Bez znaku życia!

- Alume jest pusty. Wielkie drewniane wrota rozbite. Zielony Płomień zgasł.

- Nic nie ma w Halcyonie. Wieśniacy zagonieni do nor.

- Tuang: cisza.

- Poranne Światło: śmierć.

Rozdział 6

Trzy dni później Xanten zaprzągnął sześć Ptaków i po okrążeniu zaniku skierował się do leżącej na południu Dalekiej Doliny.

Ptaki najpierw wyrzuciły z siebie potok zwykłych narzekań, a potem opadły nagle w dół, co o mało nie skończyło się upadkiem Xantena. W końcu wzbiły się spiralnie w górę.

Zamek Hagedorn zmienił się w skomplikowaną miniaturę, daleko w dole. Każdy Dom stał się jedyną w swoim rodzaju składanką wieżyczek i okien, własną linią dachu i własnym powiewającym proporcem.

Ptaki zatoczyły przykazane im koło, prześlizgując się między turniami i szczytami Północnego Grzbietu. Później, kierując się w górę rzeki, poleciały w stronę Dalekiej Doliny.

Xanten leciał z Ptakami nad pięknymi posiadłościami Hagedornu. Nad sadami, polami, winnicami, wioskami Wieśniaków. Przelecieli nad jeziorem Maude, pawilonami i przystaniami, nad łąkami, gdzie pasło się bydło i owce należące do zamku, docierając w końcu do Dalekiej Doliny, granicy posiadłości Hagedornu.

Xanten wybrał miejsce do lądowania. Ptaki chciały osiąść blisko wioski, by móc obserwować wszystko, co będzie się działo, gderały i krzyczały na Xantena. Wylądowały tak twardo, że nie przygotowany na wstrząs Xanten o mało nie pokoziołkował w przód. Nie było to eleganckie lądowanie, ale udało mu się utrzymać na nogach.

- Czekaście na mnie tutaj! - rozkazał. - Nie odchodźcie stąd! I żadnego wydziwiania z uprzążą! Kiedy wrócę, chcę widzieć sześć równo stojących, cichych Ptaków, z nie poplątaną uprzążą. Pamiętajcie, żadnych kłótni! Żadnych wrzasków, żadnych przekomarzań! Ma być tak, jak rozkazałem!

Ptaki dąsały się, przestępując z nogi na nogę, chowały się za szyje sąsiadów, robiły wulgarne wymówki tak, żeby Xanten ich nie słyszał. On zaś obrzucił je ostatnim

napominającym spojrzeniem i poszedł prowadzącą do wioski ścieżką.

Winne grona były dojrzałe i ciężkie. Wśród krzaków stały dziewczęta z wioski, zbierające ciemne owoce do pełnych już koszyków. Pomiędzy nimi była dziewczyna O.Z.

Garra ta, którą chciał przeznaczyć do osobistego użytku. Xanten podszedł i wykonał dworski ukłon.

- Spotkaliśmy się przedtem, jeśli mnie pamięć nie myli.

Dziewczyna uśmiechnęła się na pół smutnie, na pół dziwnie.

- Twa pamięć nie myli cię, panie. Spotkaliśmy się w Hagedorn, gdzie byłam więźniem.

I potem, gdy przywiozłeś mnie tu po ciemku, choć wtedy nie widziałam twojej twarzy. -

Wyciągnęła przed siebie koszyk. - Może jesteś głodny? Proszę, zjedz trochę.

Xanten wziął kilka owoców. W czasie rozmowy dowiedział się, że imię dziewczyny brzmiało Glys Słodycz Łąki, że nie wiedziała, kim byli jej rodzice, choć prawdopodobnie to szlachcice z Hagedorn, którzy przekroczyli swój limit dzieci. Xanten przyjrzał się jej jeszcze uważniej niż przedtem, ale nie zauważył podobieństwa do żadnej z rodzin Hagedorn.

- Może pochodzisz z zamku Delora. Jeśli dostrzegam jakieś podobieństwo, to do rodziny Cosanza z Delory, rodziny znanej z urody swych córek.

- Nie jesteś żonaty? - spytała go naturalnym tonem.

- Nie - powiedział Xanten, który w rzeczy samej dzień wcześniej rozstał się z Aramintą.

- A ty?

- Nie zbierałabym wtedy owoców - potrząsnęła głową. - To praca zarezerwowana dla dziewic... Po co przybyłeś do Dalekiej Doliny?

- Z dwóch powodów. Pierwszy cel, to zobaczyć ciebie. - Te słowa były niespodzianką dla niego samego, ale była to prawda, co również go zaskoczyło. - Nigdy właściwie z tobą nie rozmawiałem i zawsze zastanawiałem się, czy jesteś tak pełna wdzięku i uroku, jak piękna.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i Xanten nie wiedział, czy swymi słowami sprawił jej przyjemność. Komplementy szlachciców zawsze pociągały za sobą smutne następstwa.

- Właściwie to bez znaczenia. Przyszedłem także pomówić z Claghornem.

- Jest tam - powiedziała bezbarwnym, chłodnym tonem, wskazując palcem. - Mieszka w tamtej chacie. - Wróciła do zbierania owoców.

Xanten uklonił się i ruszył do wskazanej przez dziewczynę chaty.

Claghorn miał na sobie długie do kolan bryczesy z szarego samodziału i rąbał siekierą polana, by można je było włożyć do pieca. Na widok Xantena przerwał pracę, oparł się na siekierze i otarł czoło.

- Ach, Xanten. Cieszę się, że cię widzę. Jak tam mieszkańcy Hagedorn?

- Jak przedtem. Nic ciekawego, choć przyszedłem, by przynieść ci wieści.

- Naprawdę? - Claghorn rzucił Xanteno-wi jasne, otwarte spojrzenie.

- Podczas naszego ostatniego spotkania - kontynuował Xanten - zgodziłem się przesłuchać pojmanego przeze mnie Męka. Żałuję, że ciebie przy tym nie było, mógłbyś wytłumaczyć pewne niejasności.

- Mów - powiedział Claghorn - może teraz uda mi się to zrobić.

- Po zakończeniu zebrania rady zszedłem natychmiast do składu, gdzie trzymany był Mek. Nie był nakarmiony. Dałem mu syrop i wiadro wody. Wypił ją, a potem wyraził chęć zjedzenia siekanych mięczaków. Wezwałem kuchennych i poleciłem przynieść je. Mek zjadł trochę. To niezwykajny Mek, był równie wysoki jak ja i nie miał pojemnika na syrop. Zaprowadziłem go do magazynu z brązowymi, pluszowymi meblami i kazałem usiąść.

Spojrzałem na niego i on spojrzał na mnie. Czułki, które mu usunąłem, odrastały, prawdopodobnie mógł już odbierać wiadomości od pozostałych Meków. Wydawał się bestią wyższego rzędu, nie okazywał służalczości ni szacunku. Odpowiadał na moje pytania bez

wahania. Zaczęłam: „Szlachta z zamków jest zaskoczona rewoltą Meków. Myśleliśmy, że wasze życie satysfakcjonowało was. Czy myliliśmy się?” „Oczywiście”. Zaakcentował to słowo, a ja nigdy nie spodziewałam się po Meku żadnej zgryźliwości lub dowcipu. „No więc dobrze. O co chodzi?” „To oczywiste”, rzekł. „Nie chcemy już pracować na wasze konto. Chcemy prowadzić własne życie według naszych tradycyjnych wzorców”. Jego odpowiedź zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, że Mecy posiadali w ogóle jakieś wzorce, a tym bardziej tradycyjne.

Claghorn skinął głową.

- Sam się zdziwiłem zakresem mentalności Meków - stwierdził.

- Odsunąłem się od niego - podjął Xanten. - „Po co zabijać? Dlaczego chcecie niszczyć nasze życie, by rozwijać się samemu?” Już gdy postawiłem pytanie zauważyłem, jak smutno ono zabrzmiało. Wydaje mi się, że Mek zareagował podobnie i powiedział szybko: „Wiemy, że musimy postępować stanowczo. Mogliśmy wrócić na Etaminę Dziewięć, ale wolimy Ziemię i będzie to nasza planeta z naszymi pochylniami, wannami i rampami do wygrzewania się”.

Wydawało się to jasne, ale przeczuwałem coś i pytałem dalej: „Rozumiem. Ale dlaczego zabijać? Dlaczego niszczyć? Mogliście przenieść się w inny region. Nie atakowalibyśmy was”.

„To niemożliwe, zgodnie z twoim własnym sposobem myślenia. Świat jest zbyt mały dla dwóch rywalizujących ras. Zamierzaliście odesłać nas na Etaminę Dziewięć”. „To śmieszne”, powiedziałem. „To fantazja, absurd. Masz mnie za idiotę?” „Nie. Dwóch notabli zamku Hagedorn konkurowało o najwyższe stanowisko. Jeden powiedział nam, że jeśli wygra, stanie się to celem jego życia”. „To groteskowe nieporozumienie”, powiedziałem. „Jakiś fanatyk nie może mówić za wszystkich ludzi!” „Nie? Jeden Mek mówi za wszystkich Meków. Myślimy jednym umysłem. Czy ludzie nie są tacy?” „Każdy myśli po swojemu. Wariat, który wam naopowiadał tych błazeństw, jest złym człowiekiem. Ale przynajmniej wszystko jest jasne. Nie

chcemy odsyłać was na waszą ojczystą planetę. Czy wycofacie się teraz spod Janeil, odejdziecie daleko i zostawicie nas w spokoju?” „Nie”, odpowiedział. „Sprawy zaszły za daleko. Zniszczymy teraz wszystkich ludzi. Prawda tego twierdzenia jest oczywista: jeden świat jest za mały dla dwóch ras”. „Więc niestety, muszę cię zabić”, powiedziałem mu. „Nie leży to w mojej naturze, ale ty, gdybyś mógł, zabiłbyś tylu szlachciców, ilu byś zdołał”. W tym momencie rzucił się na mnie i zabiłem go ze spokojniejszym sumieniem, niż gdyby siedział spokojnie. Teraz wiesz wszystko. Albo ty, albo O.Z. Garr wywołaliście kataklizm. O.Z. Garr? Niemożliwe. Dlatego ty, Claghorn, ty! Masz to na sumieniu!

Claghorn spuścił wzrok na siekiere.

- Ciężar tak, ale nie winę. Szczerość tak, ale niegodziwość nie.

- Claghorn, twój chłód mnie przeraża! - Xanten cofnął się nieco. - Wcześniej, gdy ludzie w rodzaju O.Z. Garra uważali cię za wariata...

- Uspokój się, Xanten! To bicie się w piersi staje się niesmaczne. Cóż takiego złego zrobiłem? Mój błąd polegał na tym, że chciałem za dużo. Porażka jest tragiczna, ale niebezpieczeństwo zarazy jest gorsze. Chciałem zostać Hagedornem. Wysłałbym niewolników z powrotem. Nie udało się, niewolnicy powstali. Więc nie mów nic więcej. Nudzi mnie już ten temat. Nie wyobrażasz sobie, jak męczą mnie twoje wlepione we mnie oczy.

- Jesteś znudzony! - krzyknął Xanten. - Męczą cię moje oczy, a co z tysiącami martwych?!

- A jak długo by żyli, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej? Życie jest tanie jak morska ryba. Daj spokój wymówkom i poświęć tę energię ratowaniu siebie. Czy zdajesz sobie sprawę, że istnieją takie możliwości? Patrzysz tak obojętnie. Zapewniam cię, że to prawda, ale nie dowiesz się o nich ode mnie.

- Claghorn - powiedział Xanten. - Przyleciałem tu, zamierzając urwać ci ten arogancki

leb... - Claghorn, nie zwracając na niego uwagi, powrócił do rąbania drewna. - Claghorn! -

wrzasnął Xanten. - Słuchaj mnie!

- Zabierz sobie te wrzaski, gdzie chcesz. Idź krzyczeć na swoje Ptaki.

Xanten odwrócił się na pięcie i odszedł. Dziewczyny zrywające owoce patrzyły nań pytająco i usuwały się z drogi. Xanten zatrzymał się i rozejrzał. Glys nie było. Wściekły ruszył naprzód, ale zaraz zatrzymał się. Na przewróconym drzewie, w odległości około stu stóp od Ptaków, siedziała Glys Słodycz Łąki, oglądając źdźbło trawy, jak gdyby był to zabytek z przeszłości. Co dziwne Ptaki posłuchały go i czekały spokojnie.

Xanten spojrział w niebo i kopnął kawał darni. Wziął głęboki oddech i zbliżył się do Glys. Zauważył, iż wpięła sobie kwiat w długie, luźno opadające włosy.

Po sekundzie lub dwu podniosła na niego wzrok.

- Dlaczego jesteś taki zły? - spytała.

Xanten klepnął się w udo i usiadł obok niej.

- Zły? Nie. Odchodzę od zmysłów. Clag-horn jest uparty jak skała. Wie, jak uratować Hagedorn, ale nie wyjawia swej tajemnicy.

Glys zaśmiała się lekko i wesoło, takiego dźwięku Xanten nigdy nie słyszał w zamku.

- Tajemnicy? Jak może to być tajemnica, skoro ja ją znam?

- Musi to być tajemnica, bo on nie chciał zdradzić - powiedział Xanten.

- Posłuchaj. Jeśli boisz się, że twoje Ptaki usłyszą, będę szeptała. - Powiedziała mu kilka słów do ucha.

Być może za sprawą jej słodkiego oddechu, który go oczarował, Xanten nie pojął sekretu. Parsknął ze smutnym rozbawieniem:

- Tu nie ma żadnej tajemnicy. Tylko to, co starożytni Scytowie nazywali bathos. To

zniewaga dla szlachcica! Czy tańczymy z Wieśniakami? Czy podajemy Ptakom ekstrakty? I

czy dyskutujemy z nimi o urodzie naszych Phanów?

- Zniewaga, tak? - Skoczyła na równe nogi. - Czy nie jest także zniewagą, że

rozmawiasz ze mną, że siedzisz obok mnie i że masz śmieszne zamiary...?

- Nie mam żadnych zamiarów! - zaprotestował Xanten. - Siedzę tu zgodnie z etykietą...

- Za dużo etykiety, za dużo honoru! - Z namiętnością, której nie spodziewał się po niej,

wyrwała kwiat z włosów i rzuciła go na ziemię. - Masz. Proszę bardzo!

- Nie - powiedział nagle pokorny Xanten. Kucnął, podniósł kwiat, pocałował go i z

powrotem wpiął jej we włosy. - Nie jestem za honorowy. Będę się starał. - Objął ją, ale

wyszarpnęła się.

- Powiedz mi - spytała z dojrzałą surowością - czy trzymasz własne kobiety--owady?

- Ja nie mam Phanów.

Glys rozluźniła się i pozwoliła się objąć. Ptaki cmokały, parskały i wydawały wulgarne

dźwięki, trąc o siebie skrzydłami.

Rozdział 7

Lato kończyło się 30 czerwca Janeil i Hagedorn obchodziły Święto Kwiatów, choć wał dookoła Janeil stawał się coraz wyższy. Krótco potem Xanten poleciał z sześcioma Ptakami do Janeil i zaproponował radzie, że wszyscy, którzy chcą, mogą zostać ewakuowani za pomocą Ptaków. Rada wysłuchała propozycji z kamiennymi twarzami i bez dyskusji przeszła do następnych punktów obrad.

Xanten wrócił do Hagedorn. Używając najostrożniejszych metod, rozmawiając jedynie z zaufanymi towarzyszami, przekonał trzydziestu lub czterdziestu szlachciców i kadetów, choć uniemożliwiło mu to utrzymanie w tajemnicy szczegółów swego planu.

Pierwszą reakcją tradycjonalistów były kpiny i oskarżenia o tchórzostwo. Xanten obstawał, by jego gorącokrwisci zwolennicy nie wyzywali nikogo na pojedynek i sami wyzwania nie przyjmowali.

Wieczorem dziewiątego września padł zamek Janeil. Smutną wieść przyniosły podekscytowane Ptaki, które coraz bardziej histerycznymi głosami opowiadały w kółko tę smutną historię.

Wycieńczony i znużony Hagedorn natychmiast zwołał posiedzenie rady.

- Nasz zamek jest więc ostatni - zauważył pesymistycznie. - Mecz nie mogą nam zrobić krzywdy. Mogą budować wały przez dwadzieścia lat, aż oszaleją. Ale to dziwne i złowieszcze, że tutaj, w zamku Hagedorn, żyją ostatni szlachcice na Ziemi!

Xanten przemówił głosem pełnym żarliwego przekonania:

- Dwadzieścia lat, pięćdziesiąt lat, jaka to różnica dla Meków? Jeśli raz nas otoczą, okrążą, będziemy w pułapce. Czy nie rozumiecie, że mamy ostatnią sposobność ucieczki z tej wielkiej klatki, jaką stanie się zamek Hagedorn?

- Ucieczki, Xantenie? Cóż to za słowo! Wstyd! - zagrzemiał O.Z. Garr. - A bierz swoją

bandę łotrów i uciekaj! Na stepy, bagna albo do dżungli! Idź, jeśli chcesz, odejść ze swymi tchórzami, ale daj nam spokój z wiecznymi alarmami!

- Garr, zdecydowałem się, zanim zostałem tchórzem. Przetrvanie to dobra moralność.

Usłyszałem to od znanego mędrca.

- Bah? Od kogo?

- A.G. Philidora, jeśli musisz znać każdy szczegół.

O.Z. Garr uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Mówisz o Philidorze pokutniku? Przecież to kompletny szaleniec, pokutujący za całą resztę! Xantenie, proszę cię, bądź rozsądny!

- Wszyscy mamy przed sobą jeszcze wiele lat - przemówił sztywno Xanten. - Jeśli uwolnimy się od zamku.

- Ale zamek jest naszym życiem! Tak naprawdę, Xantenie, czym bylibyśmy bez zamków? Dzikimi zwierzętami? Nomadami?- pytał Hagedorn.

- Bylibyśmy żywi.

O.Z. Garr parsknął z pogardą i wpatrzył się w sufit.

Hagedorn potrząsał głową w zwątpieniu i zakłopotaniu. Beaudry wyrzucił ręce w powietrze.

- Xantenie, odebrałeś nam wszystkim odwagę. Przychodzisz tu i wprowadzasz koszarne uczucie niepokoju, ale dlaczego? W zamku Hagedorn jesteśmy bezpieczni jak w ramionach matki. Co zyskamy, odrzucając wszystko: honor, godność, wygodę, finezję cywilizacji, dla skradania się przez dzicz?

- Janeil był bezpieczny - powiedział Kanten. - Gdzie jest Janeil dziś? Śmierć, spleśniałe tkaniny, kwaśne wino. Co zyskujemy? Pewność przetrwania. Planuję coś więcej niż jedynie przekradanie się.

- Mogę wyobrazić sobie setki okoliczności, kiedy śmierć jest lepsza od życia! - mruknął

Isseth. - Czy mam umierać niegodnie i niehonorowo? Dlaczego nie przeżyć ostatnich lat z godnością?

Do komnaty wszedł B.F. Robarth.

- Meczy zbliżają się do zamku Hagedorn.

- Co mamy robić? - Hagedorn powiódł dookoła dzikim wzrokiem.

Xanten wyrzucił ręce w górę.

- Każdy musi robić to, co uważa za najszlachetniejsze! Nie mam nic więcej do dodania.

Hagedorn, czy mógłbyś zakończyć zebranie, by każdy mógł zająć się swoimi sprawami? Na przykład ja moim skradaniem się?

- Zebranie zakończone - powiedział Hagedorn. Wszyscy wstali i ruszyli na blanki.

Na wiodącej do zamku alei tłoczyli się Wieśniacy z terenów otaczających zamek, niosąc na ramionach swój dobytek. Po drugiej stronie doliny, na skraju Lasu Bartholomew, stały wozy bojowe i amorficzna, złotobrazowa masa - Meczy.

Aurę wskazał na zachód.

- Idą tam, Długą Błotnistą Doliną. - Odwrócił się na wschód. - I w Bambridge są Meczy!

W milczącej jedności wszyscy rzucili się, by obserwować Północny Grzbiet. O.Z. Garr pokazał cichą linię złotobrazowych kształtów.

- Tam czekają, robactwo! Zamknęli nas! Niech więc sobie czekają! - Odszedł, zjechał

windą w dół, przeszedł plac i wszedł do Domu Zumbeld. Przez resztę popołudnia pracował tam z Glorianą, po której spodziewał się wielkich rzeczy.

W ciągu następnych dni Meczy umocnili oblężenie. Dookoła zamku Hagedorn rozciągały się budy, strażnice, koszary Meków. Na tym obszarze, poza zasięgiem działa energetycznego, wozy bojowe wzniosły hałdy ziemi. Nocą hałdy zbliżyły się do zamku. Wkrótce zrozumiano dlaczego. Chroniły one przejścia lub tunele prowadzone do turni, na której stał zamek. Następnego dnia hałdy dotarły do podnóża turni. Sznur wozów bojowych załadowanych gruzem zaczął wypęłzać z tuneli. Wyjeżdżały, zrzucały swój ładunek i wjeżdżały z powrotem.

Powstało osiem takich tuneli. Z każdego wypływał nie kończący się strumień gładów i ziemi, wydobywanych ze skał Hagedornu. Dla stojącej na parapetach szlachty sens tej pracy stał się w końcu zrozumiały.

- Oni nie chcą nas pogrzebać - powiedział Hagedorn. - Chcą podminować skałę pod nami!

Szóstego dnia oblężenia wielka część wzgórza zatrzęsa się, załamała i wysoki kawał skały, prawie sięgający murów, runął w dół.

- Jeśli potrwa to jeszcze trochę - zamruczał Beaudy - będziemy mieli mniej czasu niż Janeil.

- Więc chodźmy! - zawołał nagle aktywny O.Z. Garr. - Wypróbujmy nasze działo energetyczne. Otworzymy te ich tunele i co łajdacy wtedy zrobią? - Podeszedł do najbliższego stanowiska i zawołał Wieśniaków, by usunęli brezent.

Xanten, który przypadkiem stał obok, podeszedł bliżej.

- Pozwól, że pomogę. - Szarpnął brezent. - Strzelaj teraz, jeśli chcesz.

O.Z. Garr wpatrywał się weń, nie rozumiejąc, skoczył naprzód i wycelował w hałdę.

Nacisnął spust. Powietrze pod pokrytą pierścieniami dyszą zafalowało i rozbrzmiało

purpurowymi iskrami. Hałda zaczęła parować, szerniała i zapadła się w rozjarzony krater. Ale leżąca pod spodem warstwa ziemi, grubości dwudziestu stóp, była zbyt dobrą izolacją.

Mieszanina zbieła z gorąca, ale nie topiła się. Działo energetyczne nagle zaterkotało, gdy prąd przeszedł przez skorodowaną izolację, i wyłączyło się. Zły i rozczarowany O.Z. Garr obejrzał mechanizm. Odwrócił się ze wstrętem. Było jasne, że działa mają ograniczoną skuteczność.

Dwie godziny później na wschodniej ścianie turni odpadła kolejna część skały. Zaraz przed zachodem słońca następna, tym razem od zachodniej strony, gdzie mur wyrastał niemal ze skały.

O północy Xanten i ci, których zdołał przekonać, z dziećmi i małżonkami opuścili zamek Hagedorn. Sześć zespołów Ptaków kursowało między zamkiem a łąką w pobliżu Dalekiej Doliny, dopóki nie przetransportowali wszystkich na długo przed świtem. Nikt ich nie żegnał.

Tydzień później odpadł kolejny kawał klifu, zabierając ze sobą masywną skalną przyporę. W ujściach tuneli hałdy gruzu stały się niebezpiecznie wielkie.

Pokryta tarasami południowa ściana turni była najmniej uszkodzona. Najbardziej ucierpiały ściana wschodnia i zachodnia. Nagle, miesiąc po pierwszym ataku, duża część tarasów zwała się, tworząc nieregularne pęknięcia, które przecięło aleję i strąciło posągi dawnych notabli, zdobiące balustradę wzdłuż alei.

Hagedorn zwołał posiedzenie rady.

- Sytuacja - powiedział, siląc się na żart - nie uległa poprawie. Przekroczyła nasze najbardziej pesymistyczne przewidywania. Wyznam, że nie pociąga mnie wizja śmierci na gruzach mej własności.

Aurę wykonał desperacki gest.

- Mnie nurtują podobne myśli! Śmierć, i co z tego? Wszyscy muszą umrzeć! Ale gdy pomyślę o mym dobytku, jestem chory. Moje książki stratowane! Moje płaszcze podarte! Moje kilimy pogrzebane! Moi Phani poduszeni! Moje otrzymane w spadku żyrandole rozrzucone! Oto moje koszmary.

- Twe mienie nie jest cenniejsze niż mienie innych - powiedział krótko Beaudry. -

Przecież ono nie ma życia. Gdy my znikniemy, kogo będzie obchodziło, co się z nim stanie?

Marune skrzywił się z bólu.

- Rok temu schowałem osiemnaście tuzinów flaszek pierwszorzędnego ekstraktu, dwanaście tuzinów Zielonego Deszczu, po trzy Balthazara i Faidora. Jeśli mówicie o tragedii, pomyślcie o nich!

- Gdybyśmy wiedzieli! - zawołał Aurę. - Ja miałbym, ja miałbym... -jego głos stopniowo ucichł.

O.Z. Garr niecierpliwie tupnął nogą.

- Za wszelką cenę musimy uniknąć lamentów! Pamiętajcie, mamy wybór! Xanten zaklinał nas, byśmy uciekli. Teraz on i jemu podobni skradają się przez północne góry z pokutnikami. My wybraliśmy pozostanie, na dobre i na złe, a złe niestety ma miejsce. Musimy zaakceptować ten fakt jak szlachcice.

Członkowie poparli go melancholijnie. Hagedorn wyjął butelkę bezcennego Rhadamanthu i rozlał go z niespotykaną dotychczas hojnością.

- Ponieważ nie mamy przyszłości, za naszą wspaniałą przeszłość!

W nocy zauważono jakiś ruch w kilku miejscach wzdłuż umocnień Meków: płomienie w czterech punktach, słabe echo chrapliwych okrzyków. Następnego dnia tempo pracy Meków jakby zmniejszyło się odrobinę. Tego popołudnia jednak odpadła duża część wschodniego klifu. Moment później, jakby po majestatycznym wahaniu, rozpadł się i runął w dół wysoki mur wschodni, odsłaniając tylne ściany sześciu wielkich Domów.

Godzinę po zachodzie słońca na poziomie lotniczym wylądował zaprzęg Ptaków z Xantem. Xanten zeskoczył z siedzenia, zbiegł spiralną klatką schodową na blanki i zszedł na plac przed pałacem Hagedorna.

Zawołany przez krewnego Hagedorn wpatrywał się w Xantena z niedowierzaniem.

- Co ty tu robisz? Myśleliśmy, że jesteś bezpieczny na północy, z pokutnikami!

- Pokutnicy nie są bezpieczni na północy. Przyłączyli się do nas. Walczymy - powiedział Xanten.

Hagedorn zaniemówił.

- Walczycie? Szlachcice walczą z Mękami?

- Tak jak mogą.

Hagedorn potrząsnął głową z zastanowieniem.

- I pokutnicy też? Myślałem, że zaplanowali udać się na północ.

- Kilku zrobiło tak, na przykład A.G. Philidor. Pokutnicy podzieleni są na frakcje tak samo jak szlachcice w zamku. Większość znajduje się około dziesięciu mil stąd. Tak samo nomadzi. Kilku wzięło swoje wozy bojowe i uciekło. Reszta zabija Męko w z fanatycznym zapałem. Widziałeś naszą robotę zeszłej nocy. Podpaliliśmy cztery skały, zniszczyliśmy składy syropu, zabiliśmy z setkę Meków i kilkanaście wozów bojowych. Ponieśliśmy straty, które są tym dotkliwsze, że jest nas mało, a Meków dużo. Dlatego jestem tutaj. Potrzebujemy ludzi.

Walczcie u naszego boku!

- Wywołam lud z Domów - powiedział Hagedorn, kierując się ku centralnemu placowi.

- Pomów z nimi.

Ptaki, narzekając głośno na dodatkowy wysiłek, pracowały całą noc, transportując mężczyzn, którzy otrzeźwieni postępującym zniszczeniem zamku Hagedorn, gotowi byli pozbyć się skrupułów i walczyć o przetrwanie. Zaprzysięgli tradycjoniści nadal odmawiali rezygnacji z honoru, ale Xanten zapewnił ich ochoczo:

- Pozostańcie więc tutaj, tłoczcie się jak szczury i ciesząc się, że jesteście chronieni. Nie ma dla was przyszłości.

Wielu słuchających go odeszło zdeglustowanych.

Xanten zwrócił się do Hagedorna:

- A co z tobą? Idziesz czy zostajesz? Hagedorn westchnął ciężko, prawie jęknął:

- Zamek Hagedorn dotrwał do kresu. Nie ma znaczenia, co się stanie. Idę z wami.

Sytuacja zmieniła się nagle. Oblegający Hagedorn Meczy nie spodziewali się ataku z zewnątrz, lecz jedynie z zamku. Ustawili swoje koszary i składy syropu z myślą o wygodzie, a nie o obronie. Oddziały, które robiły wycieczki, mogły zatem zbliżać się, niszczyć i wycofywać bez ponoszenia poważnych strat. Meczy stacjonujący na Północnym Grzbiecie byli niepokojeni niemal bez przerwy, aż w końcu wycofali się z poważnymi stratami. Pierścień fortyfikacji dookoła zamku Hagedorn rozpadł się. Dwa dni później, gdy uległo zniszczeniu kolejne pięć składów syropu, Meczy wycofali się jeszcze bardziej. Porzucając prace ziemne na południu, zbudowali mniej lub bardziej udane stanowiska obronne, ale z oblegających stali się obleganymi, choć wozy bojowe z gruzem nadal wyjeżdżały z tuneli.

Wewnątrz bronionego obszaru Meczy skoncentrowali pozostałe zapasy syropu, narzędzi, broni i amunicji. Teren na zewnątrz robót ziemnych był iluminowany po zmroku i pilnowany przez uzbrojonych w pistolety śrutowe Meków, co uniemożliwiało frontalny atak. Przez cały dzień partyzanci siedzieli w okolicznych sadach, oceniając sytuację. W końcu wymyślono nową taktykę. Zbudowano sześć lekkich wozów i załadowano je pęczkami pełnymi łatwopalnego oleju, z przyczepionym granatem ogniowym. Do wozów zaprzężono ptaki i wysłano nad pozycje Meków, gdzie spuszczano bomby zapalające. Cały obszar pokryły płomienie. Składy syropu spłonęły. Obudzone, oszalałe od ognia wozy bojowe, miały się w przód i w tył, miażdżąc Meków i ich składy, zderzając się ze sobą, siejąc panikę. Meczy, którzy przeżyli, schronili się w tunelach. Zgasły światła, co natychmiast wykorzystali ludzie i zaatakowali umocnienia. Po krótkiej, ostrej walce ludzie zabili wszystkich strażników i zajęli pozycje blokujące wejścia do tuneli, w których znajdowały się niedobitki armii Meków. Wydawało się, że powstanie zostało stłumione.

Płomienie zgasły. Wojownicy - trzystu ludzi z zamku, dwustu pokutników i około trzystu nomadów - zebrali się przy wejściach do tuneli i rozważali, co zrobić z uwięzionymi Mękami. O świcie mężczyźni z zamku Hagedorn, których dzieci i żony były jeszcze wewnątrz, poszli po nie. Z wracającymi przyszła grupa szlachciców z zamku. Między nimi Beaudry, O.Z. Garr, Isseth i Aurę. Przywitali tych, którzy kiedyś byli im równi, Hagedorna, Xantena i Claghorna, krótko, ale z surową obojętnością, ponieważ splamili oni swój honor, walcząc z Mękami.

- Co stanie się teraz? - spytał Hagedorna Beaudry. - Meczy są w pułapce, ale nie można ich wywabić. Jeśli mają syrop na swoich wozach bojowych, mogą żyć miesiącami.

O.Z. Garr, oceniając sytuację z punktu widzenia wojskowego teoretyka, zaproponował:

- Znieście z zamku działo albo każcie to zrobić swoim sługom i zamontujcie je na wozach bojowych. Gdy to robactwo będzie dostatecznie słabe, wtoczycie wozy do środka i wybijecie ich, pozostawiając jedynie tylu, ilu jest potrzebnych na zamku. Poprzednio pracowało ich czterystu, teraz też powinno tylu wystarczyć.

- Bah! - krzyknął Xanten. - Z wielką przyjemnością informuję cię, że nigdy się tak nie stanie. Jeśli Meczy przeżyją, naprawią statki, nauczą nas swych umiejętności, po czym przetransportujemy ich i Wieśniaków na ich ojczystą planetę.

- A jak niby utrzymamy się przy życiu? - zimno warknął Garr.

- Macie generator syropu. Wszyjcie sobie pojemniki i pijcie syrop.

- To jest twoje i tylko twoje zdanie. Trzeba wysłuchać również innych. Hagedorn, ty byłeś kiedyś szlachcicem, czy ty także uważasz, że cywilizacja powinna obumrzeć?

- Nie musi - stwierdził Hagedorn - jeśli wszyscy, zarówno ty, jak i my, będziemy na to pracować. Nie może być już więcej niewolników. Jestem o tym przekonany.

O.Z. Garr odwrócił się na pięcie i podążył aleją z powrotem do zamku. Za nim kroczyła większość jego towarzyszy - tradycjonalistów. Kilku z nich rozmawiało na boku, rzucając mroczne spojrzenia na Xantena i Hagedorna.

Nagle z parapetów zamku dobiegł okrzyk:

- Meczy! Zdobywają zamek! Wchodzą z dolnych poziomów! Atakujcie! Ocalcie nas!

Mężczyźni u dołu patrzyli skonsternowani. W tym momencie zatrzęsnęły się bramy zamku.

- Jak to możliwe?! Przysięgam, że wszyscy weszli do tuneli! - zagrzmiął Hagedorn.

- To oczywiste - gorzko stwierdził Xanten. - Gdy podminowywali wzgórze, wydrążyli tunele do niższych poziomów!

Hagedorn ruszył naprzód, jak gdyby chciał sam zaatakować zamek i nagle się zatrzymał.

- Musimy ich wygonić. Nie do pomyślenia, by splądrowali zamek! Nasz zamek!

- Niestety. Ściany skutecznie nas odgradzają, podobnie jak odgradzały Meków - powiedział Claghorn.

- Ptaki mogą przenieść oddziały. Jeżeli się skonsolidujemy, będziemy mogli na nich zapolować, wytępić ich!

- Mogą czekać na blankach i na poziomie lotniczym i zestrzelić każdego zbliżającego się Ptaka. Nawet jeśli zdobylibyśmy przyczółek, byłaby to prawdziwa rzeźnia. Jeden za jednego. A nadal jest ich trzy razy więcej.

- Myśl, że grzebią w moim dobytku, że stąpają po moich ubraniach, że chłepcą moje ekstrakty, osłabia mnie! - stęknął Hagedorn.

- Słuchajcie! - powiedział Claghorn. Z góry usłyszeli krzyki mężczyzn i terkotanie działka energetycznego. - Przynajmniej kilku naszych utrzymuje się jeszcze na blankach!

Xanten podszedł do stojącej obok grupy Ptaków, zastraszonych i uciszonych przebiegiem wydarzeń.

- Ponieście mnie nad zamek, poza zasięgiem śrutu. Chcę zobaczyć, co się tam dzieje!

- Uważaj, uważaj! - zachrypiał jeden z Ptaków. - Złe rzeczy dzieją się w zamku.

- Dobrze, zanieście mnie nad blankami!

Ptaki poderwały się i zatoczyły szerokie koło nad turnią i zamkiem, poza zasięgiem

Męko w i ich śrutowych pistoletów. Między wielkimi Domami, Rotundą i Pałacem roili się

Mecy, wszędzie tam, gdzie nie docierało działko. Plac był pełen ciał szlachciców, dam i dzieci, wszystkich, którzy zdecydowali się zostać w zamku.

Przy jednym z dział stał O.Z. Garr. Gdy zobaczył Xantena, histerycznie zawył, obrócił

działo i wypalił. Ptaki próbowały zboczyć, ale wiązka energii trafiła dwa z nich. Jakimś cudem

cztery, które przeżyły, odzyskały równowagę i krzycząc jak oszalałe, opadły na ziemię.

Zewsząd zaczęli nadbiegać ludzie.

- Nic ci się nie stało? - zawołał Claghorn.

- Nie, nic. Ale jestem przerażony. Xanten wziął głęboki oddech i usiadł na skale.

- Co się stało tam, w górze?

- Wszyscy martwi - powiedział Xanten. - Wszyscy oprócz dwudziestu. Garr zwariował.

Strzelił do mnie.

- Patrzcie! Meczy na blankach! - zawołał A.L. Morgan.

- Tam! - krzyknął ktoś inny. - Ludzie! Oni skaczą...! Nie, spadają!

Mężczyźni splątani z Mękami koszmarnie powoli toczyli się ku śmierci. To już koniec.

Zamek Hagedorn znalazł się w rękach Meków.

Xanten patrzył na wymyślną sylwetkę zamku, tak znajomą i tak obcą zarazem.

- Nie myślą chyba, że się utrzymają. Wystarczy tylko zniszczyć baterie słoneczne, a nie

będą mogli syntetyzować syropu - powiedział.

- Zróbmy to teraz - zaproponował Claghorn. - Zanim pomyślą o tym i obsadzą działa.

Ptaki!

Poszedł wydać rozkazy i czterdzieści Ptaków, z których każdy dźwigał dwie skały wielkości ludzkiej głowy, wzbiło się w powietrze. Okrążyły zamek i wróciły, by zameldować, że baterie zostały zniszczone.

- A więc pozostaje nam zasklepić wejścia do tuneli, by zabezpieczyć się przed niespodzianą wycieczką i uzbroić się w cierpliwość - powiedział Xanten.

- A co z Wieśniakami w stajniach i Phanami? - zapytał Hagedorn głosem pozbawionym nadziei.

- Kto nie był pokutnikiem, teraz musi się nim stać - wolno potrząsnął głową Xanten.

- Przeżyją dwa miesiące, nie więcej - wymamrotał Claghorn.

Ale minęły dwa, trzy miesiące, cztery, a Meczy trwali.

Pewnego dnia wielkie wrota otworzyły się i wyszedł przez nie wymizerowany Mek.

- Ludzie, głodujemy. Nie zniszczyliśmy waszych skarbów. Pozwólcie nam przeżyć albo przed śmiercią zniszczymy wszystko.

- Oto nasze warunki. Pozwolimy wam przeżyć, ale musicie oczyścić zamek, usunąć i pogrzebać ciała. Musicie naprawić statki kosmiczne i nauczyć nas ich obsługi. Potem przetransportujemy was na Etaminę Dziewięć - powiedział Xanten

Pięć lat później Xanten i Glys Słodycz Łąki z dwojgiem swoich dzieci musieli wyjechać po coś na północ ze swego domu nad rzeką Sande. Skorzystali z okazji i odwiedzili zamek Hagedorn, w którym żyły teraz trzy albo cztery tuziny ludzi, wśród nich Hagedorn.

Xanten zauważył, że Hagedorn posunął się w latach. Jego włosy stały się całkiem białe, a jego twarz, niegdyś szczerą i krzepką, była chuda, o prawie woskowym kolorze.

Stali w cieniu orzecha włoskiego. Zamek i turnia wznosiły się nad nimi.

- To teraz wielkie muzeum - powiedział Hagedorn. - Jestem jego opiekunem i będzie to funkcja wszystkich moich następców, ponieważ znajduje się tu wielki skarb. Trzeba go strzec i dbać o niego. Zamek pokryła już patyna starości. Domy są pełne duchów. Widzę je często, szczególnie w dni Świąt... Ach, to były czasy, czyż nie, Xantenie?

- Tak, rzeczywiście - odrzekł Xanten. Dotknął główek swoich dzieci. - Ale nie chcę do nich wracać. Jesteśmy teraz ludźmi we własnym świecie, jakimi nie byliśmy nigdy.

Hagedorn przyznał to pełen żalu. Spojrzał na wielką budowlę, jakby oglądał ją pierwszy raz.

- Co będą myśleć o zamku Hagedorn ludzie przyszłości? O jego skarbach, książkach, płaszcach?

- Przyjdą i będą się zachwycali - odparł Xanten. - Jak ja dzisiaj.

- Jest tu wiele zachwycających rzeczy. Wstąpisz, Xantenie? Są nawet butelki szlachetnych ekstraktów.

- Dziękuję, nie - odrzekł Xanten. - Poruszyłbym zbyt wiele starych wspomnień. Myślę, że pójdziemy swoją drogą.

- Świetnie cię rozumiem. Sam często mam wizję tamtych dni. Cóż więc, żegnajcie i jedźcie radośnie do domu - odrzekł Hagedorn, kiwając smutnie głową.

- Tak zrobimy, Hagedornie. Żegnaj.